Nr. 12. Warszawa, dnia 25 (13) Marca 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Ponieważ ostatni zeszyt oryginału **Zasad fizyologii** *Huxleya dotąd nie wyszedł z druku, więc nie możemy jeszcze dokończyć tego dzieła w naszym dodatku i uczynimy to (prawdopodobnie w kwartale następnym) wtedy dopiero, gdy ono zostanie wydane w całości. Tymczasem rozpoczynamy przekład i do obecnego numeru dołączamy sześć pierwszych arkuszy*

Historyi filozofii nowożytnej

R. Falkenberga, w tłomaczeniu W. M. Kozłowskiego. Brak tej treści gruntownego podręcznika w naszej literaturze zostanie przez tę pracę usunięty, a prenumeratorzy nasi niewątpliwie otrzymają w niej nabytek oddawna pożądany, tem bardziej, że wykład jest jasny, przedmiotowy i doprowadzony do ostatnich czasów.

POLITYKA.

ŚMIERĆ FERREGO.

Ani na urzędzie prefekta, ani na stanowisku ministra oświaty lub prezesa ministrów Juliusz Ferry nie wykazał zdolności nadzwyczajnych i pomysłów oryginalnych, w każdej jednak z tych ról odznaczył się tak dalece, że go podziwiano, potępiano, sławiono, lżono, ceniono i przeklinano. Człowiek, który budzi tak gwałtowne uczucia, musi być siłą. Na czem ona polegała w Ferrym? Zdawałoby się, że to niewiele, a jednak rzadko się zdarza: wiedział jasno, do czego dążył i dążył bez uwagi na wrzaski tłumu. Po Gambecie przejął w spadku hasło: klerykalizm — to wróg narodu. Zgodnie z tem przekonaniem postanowił Ferry nadać najważniejszej instytucyi społecznej — szkole, charakter świecki.

Wierzył dalej, że ciągłe „gryzienie wędzidła," przeżuwanie idei odwetu, jako naczelnego dogmatu polityki, paraliżuje myśl narodu, roznamiętnia go niezdrowo, oślepia na wiele spraw doniosłych i wytwarza fanatyzm. Okrzyczano Ferrego przyjacielem niemców, a przynajmniej cichym wyznawcą przymierza z nimi. Trudno o tem powiedzieć coś stanowczego. Niezawodnie był to domysł, wywnioskowany z jego niechęci ku pokrzykom odwetowym. Ażeby on czuł sympatyę do pogromców swej ojczyzny, a zwłaszcza — jak go podejrzywano — do Bismarka, nie wydaje nam się prawdopodobnem. Przypuszczamy nawet, że byłby chętnie widział i wojskowe zwycięztwa Francyi nad Niemcami, i odebranie dwu oderwanych prowincyj, i wogóle pomstę za klęski 1870 r., tylko ciągły szum słów bez czynów, ciągłe i przy lada sposobności otrąbywane pobudki odwetowe raziły go i rozjątrzały. Zważywszy rzecz trzeźwo — trzeba mu przyznać słuszność. Bo po co utrzymywać umysły w bezustannem podnieceniu? Po co jątrzyć stosunki głęboko rozranione? A nadewszystko, po co roztapiać całą energię polityczną narodu w jednej myśli, a raczej w jednem uczuciu nienawiści? Stan taki, jeżeli trwa dziesiątki lat, musi oddziałać szkodliwie i przepalić energię, która ma wiele innych celów do osiągnięcia.

W związku z tem dążeniem przeciwodwetowem była polityka kolonialna Ferrego. Czy chciał on tym sposobem uwagę i namiętności swych ziomków, pochłonięte ideą odwetową, zwrócić w inną stronę, czy też poprostu pragnął zdobyczy, dość, że podjął awanturniczą wyprawę tonkińską, która zakończyła się niepowodzeniem. Znienawidzony przez konserwatystów i klerykałów za wyzwolenie szkoły, przez patryotów—za gaszenie ognia i unikanie zatargu z niemcami, przez radykałów — za klęski w Tonkinie i oportunizm, przez wszystkich prawie—za żelazną rękę, musiał ustąpić wygwizdany, wyszydzony i przeklęty, pozostawiwszy po sobie jakiś strach, zmieszany z uznaniem. Politycy często jak aktorzy starają się odgadnąć upodobania widowni i zasłużyć na oklaski. Nie podoba się jakaś rola odegrana wesoło, zmienią ją na tragiczną; nie wywołują efektu surdutem czarnym, przywdzieją żółty. Otóż Ferry ani na widownię, ani na oklaski nie zważał i przerzynał się ze swem przekonaniem przez tłum pomimo piekielnych krzyków. Posiadał on w sobie indywidualność twardą, zdecydowaną, oporną i nie był wcale miękiem ciastem, które każda mocna ręka według swej woli i potrzeby urabia. Ponieważ zaś od śmierci Gambetty Francyą rządzi kilka stronnictw równej siły, a raczej bezsilności, które wzajem się paraliżują, właściwie zatem śród nich nie było miejsca dla takiej wybitnej indywidualności, jak Ferry. To też gdy go chciano obrać prezydentem Rzeczpospolitej, na wszystkich skóra scierpła. Natomiast gdy wszedł do senatu, powitano go już życzliwiej. Była to zmiana całkiem naturalna i zrozumiała; naprzód prezes senatu nie rządzi, a powtóre po sprawie panamskiej odczuto już szeroko potrzebę wezwania do steru ludzi nieugiętych a czystych. I może Ferry byłby ze swego biernego stanowiska przeszedł wkrótce na czynne, gdyby go nagle śmierć nie zaskoczyła. I oto nad tym martwym, za życia nienawidzonym człowiekiem odezwał się dziwny żal: zapomniano mu wszystkie grzechy i rozczulono się nad jego niezłomnością, żelaznym charakterem i jasnym umysłem. Francya instynktownie zrozumiała, że tacy ludzie są jej dziś niezbędni dla poskromienia panamczyków i wydarcia im nadużywanej władzy. Widząc ster swej nawy w ręku niedołęgów lub nieponiów, tęskni do obywateli prawych i dzielnych, chociażby tak niepopu-

larnych, jak Ferry, który coś przedstawiał, w coś wierzył, do czegoś dążył i coś robił. A czego chcą i co czynią jego współzawodnicy? Modlą się do świętego... franka.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 22 marca.

Ustąpienie Franciszka Smolki z przewodnictwa w Izbie poselskiej. — Pragnienia Chlumeckego. — Mowa pożegnalna Jaworskiego. — Nowy wiceprezes. — Bańka w sadzawce politycznej austryackiej.

Dawno już krążyły tu pogłoski o ustąpieniu Franciszka Smolki z przewodnictwa w Izbie poselskiej. Pojawiały się one od czasu do czasu w regularnych prawie odstępach i znikały następnie wskutek energicznych zaprzeczeń ze strony sędziwego prezesa lub prasy galicyjskiej. Patrzącemu zblizka musiały nasunąć się mimowoli dwie uwagi. Pierwsza, że chwilą, w której pogłoski te po raz pierwszy zaczęły odzywać się wyraźnie, była chwila zbliżenia się lewicy niemieckiej do rządu przed kilku laty. Druga, że jeśli po dłuższej przerwie wieści te cudem wracały, działo się to zawsze wówczas, kiedy stronnictwo niemieckie oczekiwało od hr. Taaffego jakiegoś drobnego prezentu dla uśmierzenia świeżych lub dawnych bólów.

W udzielaniu takich podarunków, tanich a obliczonych na efekt, prezes gabinetu, jak wiadomo, jest mistrzem skończonym. Ma on obfity zapas świecidełek najróżniejszego rodzaju, z którego czerpie co chwila, aby poprawić humor temu lub owemu, kwaszącemu się stronnictwu. Naturalnie psuje on tem samem znów humor innemu i musi po pewnym czasie dla naprawienia szkody znów wyciągnąć paciorek lub cukierek. Na szczęście wszystko to nic go prawie nie kosztuje, jak widzimy od lat wielu.

Takim właśnie tanim prezentem dla niemców była prezydentura Izby. Po ustąpieniu Smolki musiała ona przypaść jednemu z przewódców lewicy, Chlumeckemu, piastującemu oddawna urząd pierwszego wiceprezesa. Otóż wiadomą było rzeczą w kołach parlamentarnych, że Chlumecky pragnął gorąco godności prezesa, że marzył o niej i tęsknił do niej, jak wierny kochanek od lat wielu bezustannie. Dziwna zachcianka! — powie niejeden, gdyż dla czynnego męża stanu, dla pierwszorzędnego członka swego stronnictwa, objęcie prezydentury musiało być przecie rodzajem zrzeczenia się roli, którą dotychczas odgrywał, dobrowolnego usunięcia się z pola walk parlamentarnych, przynajmniej o ile one rozgrywają się na mównicy. Ale cóż, bywają gusta różne, a w Austryi specyalnie trudno brać za złe lub dziwić się komukolwiek, jeśli bezustannie obracanie się w kółku błędnem, stanowiące „czynność“ tutejszego męża stanu, pragnie zamienić na emeryturę spokojną i zaszczytną, jaką jest urząd przewodniczącego, opromieniony nadto dziś jeszcze blaskiem aureoli, otaczającej postać dotychczasowego prezesa. Mniejsza zresztą o pobudki, jakiemi kierował się Chlumecky, dość, że życzenia jego znajdowały oddawna silne poparcie ze strony liberałów niemieckich i wpływały częstokroć na przebieg układów między rządem a lewicą.

Przyznać niestety wypada, że gdy tak z jednej strony dokładano wszelkich usiłowań, aby na krześle przewodniczącego osadzić nowego konkurenta, z drugiej, tj. w kołach, którym przypadał obowiązek utrzymania dotychczasowego prezesa na jego stanowisku, zapatrywano się na kwestyę tę o wiele obojętniej. Niechęć ukryta, którą żywiły oddawna pewne figury Koła polskiego przeciw liberalnemu nawskróś Smolce, wystąpiła zresztą na jaw dość dobitnie w przemówieniu, którem prezes Koła, p. Jaworski, pożegnał ustępującego, a które tchnęło zimnem w porównaniu z serdecznemi słowami, wygłoszonemi przy tej sposobności przez przewódców stronnictw niemieckich i czeskich.

Główną przeszkodą, na którą napotykały dążności Chlumeckego i jego stronników, był tedy — opór Smolki samego. Czcigodny nestor parlamentaryzmu austryackiego nie krył się bynajmniej z tem, że ustąpiłby niechętnie, a nawet oświadczał do niedawna otwarcie, że nie myśli wcale o odejściu dobrowolnem. Przed kilku miesiącami zaledwie jeden z dzienników krakowskich przytoczył słowa jego, wypowiedziane w ciągu rozmowy ze znajomym, a zawierające stanowcze zapewnienie, że w razie gdyby spróbowano wyprzeć go z obecnego stanowiska, mianując członkiem Izby panów, odrzuciłby bez wahania zaofiarowaną sobie godność.

Snać znalazły się wpływy, które pokonały ten opór. Nie trudno domyśleć się, jakich argumentów użyto w tym celu. Powiedziano Smolce zapewne otwarcie, że jest za starym i że dla burzliwych żywiołów, które rozpanoszyły się w parlamencie, potrzeba silniejszej i młodszej dłoni, któraby utrzymała je na wodzy. Powiedziano mu to zapewne w sposób niepozostawiający innej drogi wyjścia, niż dymisyę.

Inną atoli jest kwestya, czy uwaga ta była słuszną i ustąpienie Smolki koniecznem. Prawdą jest, że ton, panujący obecnie w obradach parlamentu, przekracza granice najprostszej przyzwoitości i nie da się również zaprzeczyć, że 83-letni prezes spóźniał się często z nawoływaniem do porządku, że dla przytępionego nieco wiekiem słuchu niejedno wykroczenie przeciw regułom parlamentaryzmu puścił całkiem bezkarnie. Lecz czy można wątpić o tem, że nie pomoże tu i prezes młodszy o lat kilkanaście, albowiem wszystkie środki karności parlamentarnej są zupełnie bezsilne wobec zdziczenia obyczajów, cechującego życie parlamentarne wszystkich prawie krajów w chwili teraźniejszej?

Ustąpił więc sądziwy prezes parlamentu, lecz nie dlatego, że było to potrzebne, ale dlatego, że go do tego zmuszono. Izba posłów uczciła go w sposób niebywały, uchwalając dlań jednogłośnie dożywotną pensyę honorową, równającą się dotychczasowym jego dochodom rocznym, wynoszącą 7,300 złr. Nadto zaś każde ze stronnictw wyraziło przez usta swego przewódcy szczerą sympatyę i głęboką cześć, przejmującą wszystkich zarówno wobec najwybitniejszego przedstawiciela pierwszej epoki konstytucyjnej w Austryi.

Na krześle przewodniczącego zasiądzie teraz Chlumecky. Zdaje się też, że miejsce pierwszego wiceprezesa, dotychczas przezeń zajęte, dostanie się klerykalnemu Kathreinowi, który piastował urząd drugiego wiceprezesa. Kto jednak obejmie godność drugiego wiceprezesa? Niewątpliwie członek Koła polskiego. Konserwatyści klubu Hohenwartowskiego domagają się stanowczo, aby wybrano kandydata, noszącego wspólną z nimi barwę, Abrahamowicza albo hr. Stadnickiego. Sprzeciwiłoby się temu niezawodnie stronnictwo niemieckie, a zapewne i czesi, a i w Kole samem odzywają się liczne głosy, wskazujące liberalnego posła Madeyskiego, jako kandydata najodpowiedniejszego. (Został wybrany. *Red.*).

Przesilenie prezydyalne, które wybuchło niespodzianie, odwróciło na chwilę uwagę

PRZYGODA IDY.

Dorożka stanęła.

Ojciec wysiadł pierwszy, otworzywszy drzwiczki, panna Ida wyskoczyła z powozu, nie czekając aż mama, zaspana i postękująca, wydobędzie się na świat.

Panna Ida pobiegła wprost na schody, prowadzące do ich mieszkania. Otworzyła drzwi korytarza, chciała postąpić naprzód i kryknęła z przestrachu...

Prawie z pod jej nóg powstało coś żywego, co mruczało i pokasływało i postępowało wprost ku niej. Myślała już, że umrze ze strachu, lecz owo coś przesunęło się obok niej i wyszło na ulicę. Ida ochłonęła, spostrzegła, że to coś było człowiekiem dziwnie niekształtnym, garbatym, karłem prawie.

— Znów Lentecki nocował u nas w sieni — usłyszała Ida słowa ojca, który prowadził matkę po schodach; trzeba powiedzieć stróżowi, żeby na noc zamykał na klucz korytarz.

Nazywa się więc Lentecki — pomyślała Ida i przypomniała sobie, że zna przecie tego garbusa, spotyka go często na ulicy. Nocuje w sieni — biedny być musi.

Po chwili Ida była w swoim pokoju.

Wróciła z pierwszego balu w resursie, który stanowił epokę w jej życiu; do dnia wczorajszego była podlotkiem, od dziś jest dorosłą, panną na wydaniu. Wyglądała prześlicznie.

Miała na sobie niebieską sukienkę, takież pantofelki, rękawiczki, zapinające się conajmniej na siedmnaście guzików. Suknia była mocno wydekoltowaną, co nawet nieco żenowało Idę, nim się oswoiła z nowym strojem.

A jakie powodzenie miała, jak się dobijano o taniec z nią! Pod jednym z filarów stał, malowniczo wsparty — on, przystojny, wysoki, z pięknymi wąsami... Bez wątpienia przybył dla niej...

Ida usiadła w fotelu przy oknie, owinąwszy się ciepłą chustką. Spać się jakoś nie chciało, sen uleciał z powiek, opanował ją dziwny jakiś nastrój. Była smutna, ale rada, że jest smutną.

— Inna na mojem miejscu byłaby wesołą, ja smutną jestem a więc muszę być kobietą niezwyczajną — jak mi to mówił... on...

Bywam wesołą... Za wesołą mię uważają... Śmieję się, ale ten śmiech — to fala, co porusza powierzchnię wód, nie tykając ich głębi... Choć twarz się zarumieni, wewnętrzna istota moja nie bierze udziału w tej wesołości... Nuży mnie to życie czcze, bezbarwne, szablonowe... Serce moje przeszło wszelkie możliwe uczucie i zawiodło się na nich... Nie kochałam, nie mogłam kochać nikogo... Moją pierś rozsadza tęsknota do lepszego, innego życia, wstręt do tej bezmyślnej egzystencyi... Uczuwam pustkę... Chcę być człowiekiem, działać dla innych, dążyć do ideału... być użyteczną krajowi i społeczeństwu, pokazać światu, co może kobieta...

Krew szybciej zaczęła krążyć w żyłach, zbudzona przez żywsze myśli, twarz Idy płonęła rumieńcem, oczy pałały. Przyłożyła gorące czoło do szyby.

Okno było na pierwszem piętrze, wychodziło na ulicę. Dniało. Niebo stało się ołowianem, światło z mrokiem utworzyło jakąś gęstawą mieszaninę, w której widać już było wszystkie przedmioty dokładnie. Na ulicy zaczynał się ruch: przejechał wózek z pieczywem, ciągniony przez piekarczyka, przeszła służąca z koszykiem w ręku z zamiarem wstąpienia do kościoła, nim do jatek pójdzie. Do suteryny, tuż naprzeciw okna, ktoś się dobijał gwałtownie.

ogólną od kwestyi, stanowiącej w ostatnim czasie wyłączny temat rozpraw politycznych. Rozbierano ją wszędzie: w korytarzach parlamentu, w łamach dzienników, na zgromadzeniach publicznych, w restauracyi i na ulicy, a wszędzie dostrzedz można u osób mówiących o niej wyraz nawpół ironiczny, jak gdyby dziwiły się własnej swej naiwności, dozwalającej im zastanawiać się na seryo nad rzeczą tak nieprawdopodobną, jak bajka z „Tysiąca i jednej nocy,“ lub program ligi dla usunięcia wojen. Czyż można bowiem wyobrazić sobie rzecz dziecinniejszą, niż myśl pojednania niemców z młodo-czechami i stworzenia większości liberalnej w kraju, którym rządzi hr. Taaffe? A jednak myśl ta dziwnym sposobem wypłynęła na wierzch w ostatnich tygodniach i utrzymuje się dotychczas na powierzchni, jak owe bańki, które czasem w dzień gorący zjawiają się odrazu na mętnej sadzawce i zadziwiają nas swą trwałością. Pęknie, czy nie pęknie? — pytamy, stając mimowoli ciekawi u brzegu. Otóż nie pękła wczoraj, nie pęka dziś jeszcze — stanowczo nie chce pęknąć!

Wypłynęła ona wskutek dwu mów, wygłoszonych niedawno w ciągu obrad nad prowizoryum budżetowem przez przewódcę liberałów niemieckich, Plenera, i młodo-czecha, Herolda. Ku ogólnemu zdziwieniu zarówno Plener, jak Herold przemówienia swe nastroili na ton nieco elegijny i zapominając na chwilę o polemice, napomknęli o „potrzebie złagodzenia waśni narodowych,“ o „drodze wzajemnych ustępstw, prowadzącej najlepiej do celu“ itd. Bardziej niż sama treść tych uwag uderzyła słuchaczów okoliczność, że zostały one wypowiedziane bezpośrednio po sobie, jakby wskutek poprzedniego porozumienia się mówców.

Komentatorowie w prasie wkroczyli natychmiast na szerokie pole domysłów i przypuszczeń, wreszcie twierdzeń zupełnie dowolnych. Publiczność, jak zwykle, poszła za ich śladem i powstała kwestya pojednania czechów z niemcami. Podnoszono ogólnie, że kwestya ta różni się zasadniczo od zwykłych kombinacyj parlamentarnych, że nie chodzi tu o jakiś nowy twór polityki hr. Taaffego, lecz przeciwnie o bezpośrednie zbliżenie się obu narodowości, wywołane niepomyślnym wynikiem ostatnich rokowań rządowych, a mające na celu stworzenie większości liberalnej, która byłaby zarazem końcem rządów prezesa gabinetu.

Od czasu owych mów nie zaszło nic, coby mogło utwierdzić licznych zwolenników tej myśli w ich nadziejach. W dniach najbliższych jednak oczekują oni wedle głosów, odzywających się w prasie, przy sposobności rozpraw nad ustawą finansową nowej mowy Plenera, w której przywódca liberałów poruszy powtórnie sprawę czesko-niemiecką w duchu pojednawczym.

Lecz mimo tych zapowiedzi i choćby nawet mowa ta wygłoszona została, kwestya cała — czują to wszyscy — pozostanie przecie tem, czem jest dotychczas — bańką, która lada dzień znów pryśnie. Że potrafiła się tak długo utrzymać, przypisać należy ogólnemu nastrojowi stronnictw parlamentarnych i publiczności, znużonych bezowocną walką lat ostatnich. Lecz co innego chwilowy nastrój, a co innego nieubłagalna konieczność, wypływająca ze stosunków monarchii wielojęzycznej i popychająca ją niemiłosiernie coraz dalej na drodze dotychczasowej.

Najbardziej zajmującą może w wypadku tym jest okoliczność, że hr. Taaffe, którego rządom ma właśnie zagrażać liberalna koalicya czesko-niemiecka, popiera ją jaknajbardziej. Prasa urzędowa podjęła z zachwytem myśl rzuconą przez dzienniki liberalne i zachęca oba stronnictwa do urzeczywistnienia pięknych zamiarów. Utwierdza nas to w przekonaniu, które raz już tu wyrażone zostało, że prezes gabinetu, zbliżywszy niemców do klubu Hohenwartowskiego, chciałby im w końcu zaproponować *menage à quatres* wespół z młodoczechami, lecz nie z młodoczechami teraz istniejącymi, ale ze stronnictwem bezbarwnem, mającem wedle nadziei hr. Taaffego wyłonić się w końcu zpośród obozu stronników Gregra.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niecierpliwie oczekiwany wyrok sądu przysięgłych w sprawie panamskiej zapadł: poświęcono tylko trzech kozłów ofiarnych — K. Lessepsa (rok więzienia), Blondina (2 l.) i Baïhauta (3 lata i 750,000 fr.); nadto wszyscy trzej mają zapłacić 360,000 fr. na pokrycie strat. Inni zostali uniewinnieni. Ci „inni“ byli to deputowani i senatorowie. Ponieważ podczas rozpraw sądowych jeden z obrońców zaprzeczył istnieniu legendowej listy 104 przekupionych posłów, ponieważ żaden z pociągniętych do odpowiedzialności nie został ukarany, przeto wynika, że nikt ani z Izby, ani z senatu nie wziął łapówki. Gazety paryskie, które po każdym wyroku i każdem głosowaniu wydają dziki okrzyk, pozwoliły sobie i tym razem tej przyjemności. Z depesz wszakże trudno wyrozumieć, o co im chodzi: czy o to, że rząd niepotrzebnie uscenizował cały proces z podejrzanymi o przekupstwo posłami, czy też o ułaskawienie ich. Naturalnie, jak we wszystkich wypadkach, domagają się zmiany gabinetu, gdyż ten już się zużył. Najcharakterystyczniejszem zaś jest to, że najgłośniej wrzeszczą i największą zgrozę moralną objawiają dzienniki, które (jak *Justice*, *Figaro*, *Autorité* i in.) umaczały ręce w kasie panamskiej. Ci łapownicy prasy, przekonani dowodami, do bezwstydu przekupstwa dołączają bezwstyd oburzenia na innych. Zaiste trudno sobie wyobrazić dziwaczniejsze pomieszanie pojęć etycznych.

W dalszym ciągu odkryć, dotyczących sprawy panamskiej, wydobyto na wierzch fakt, że Crispi otrzymał od Reinacha 50,000 fr., co przyboczna jego gazeta włoska wyjaśnia w ten sposób, że był on i jest dotąd adwokatem domu Reinachów i otrzymał tę sumę jako honoraryum. Gorszem jest zdemaskowanie głównego oskarżyciela, Andrieux'go, który miał dostać 25,000 fr. i któremu w procesie o potwarz udowodniono, że za cesarstwa był płatnym agentem prowokacyjnym.

Z Dahomeju nadeszły niepokojące wiadomości, że pobity Behanzin zbiera i uzbraja swe wojska, z któremi na wiosnę ma rozpocząć nowe walki z francuzami. Wprawdzie generał Dodds zbija te plotki, upewniając, że król murzyński nie jest groźny i jeżeli jeszcze raz sprobuje szczęścia, spotka go los gorszy od zeszłorocznego. Wątpimy wszakże, ażeby można było lekceważyć siły i zamiary tego władcy dahomejskiego, który dokładniej znając warunki miejscowe i lepiej z nimi oswojony, nie tak łatwo da się zgnębić.

Ferrego pochowano kosztem państwa i postanowiono uczcić pomnikiem. Jakże się zmieniły przekonania wobec tego człowieka!

Wielokrotnie zaznaczaliśmy, że olbrzymi procent łgarzów między antisemitami wyświadcza nieocenione usługi żydom. Pogromcy ich jak gdyby z kłamstwa uczynili sobie rzemiosło. Liczbę ich powiększył au-

---

— Kto tam? — usłyszała Ida pytanie z za okiennicy.

— Panno Józefo, jak Boga kocham, do chorego wzywają... Zostawiłem w trzecim pokoju moje instrumenty, niech pani na chwilkę drzwi uchyli...

— Wynoś mi się pan stąd zaraz, wiem, o jakie panu instrumenty chodzi.

— Panno Józefo, jak Boga kocham, zostawiłem narzędzia.

Mówiący te słowa był ubrany w palto wyszarzane, koloru zabłoconej, mokrej cegły; postawiony kołnierz i czapka z daszkiem na oczy nasunięta zakrywały mu większą część twarzy, widać było tylko nos olbrzymi, pąsowy.

Układy człowieka z czerwonym nosem i głosu za drzwiami trwały wciąż, w końcu drzwi uchyliły się i człowiek zniknął. Napis nad drzwiami głosił: sprzedaż wódki i piwa. O ileż wyższą się czuła Ida nad ten świat, który u jej nóg się budził, nad jego drobne troski, nad jego życie maszynowe, ona, która w tej chwili stała twarzą w twarz wobec zagadki bytu, która rozumiała prawdziwie, po co żyć...

Na ganku jednego z sąsiednich domów ukazał się Lentecki. Dolna szczęka jego latała, jak w febrze; uderzył kilkakroć rękami o plecy dla rozgrzania się, ziewnął szeroko, poprawił czapkę, owinął się dziurawem paltem i patrzył przed siebie bezmyślnie.

W tej chwili drzwi szynczku otworzyły się, wyleciał z nich z nienaturalnym pośpiechem człowiek, krzycząc: panno Józefo! ale drzwi się za nim zamknęły. Chciał mówić, ale machnął ręką, włożył coś do ust, jakby kawałek bułki, gryźć zaczął, ręce wsunął w kieszenie, głowę podniósł do góry i szedł z dumą przez ulicę. Spostrzegłszy Lenteckiego zatrzymał się:

— A, kolega, jak się masz! — zawołał, wyciągając rękę.

— Czego mię zaczepiasz?

— No, no, nie gniewaj! — uspokajał czerwony nos, klepiąc go po ramieniu. Kolega Lentecki, kolega Lentecki, kolega Lentecki... krzyczał, przedrzeźniającym głosem...

Ta niewinna nazwa do wściekłości doprowadzała garbusa. Rzucał się, pienił, krzyczał: „idź precz gałganie,“ machał rękami.

Człowiekowi z nosem czerwonym zdawał się sprawiać wielką przyjemność gniew garbusa; w końcu naprzykrzyło mu się. Krzyknął jeszcze raz: „kolega Lentecki!“ i odszedł.

Ida była oburzoną. „Jak śmie ten pijak znęcać się nad kaleką...“ Chciała nawet zawołać przez okno na człowieka z czerwonym nosem, ale ten już zawrócił za węgieł.

— To oburzające! — mówiła do siebie. Jacy są ludzie źli, jak można drażnić się z kaleką... O, jakżebym chciała mieć możność wszystkich ubogich odziać w skromne, lecz schludne suknie, dać każdemu ciepły kącik i strawę! Ja się muszę zająć losem tego nieszczęśliwego.

II.

Wybiła już dwunasta godzina, gdy Ida zbudziła się. Pierwszą osobę, jaką spostrzegła, była służąca Maryanna, porządkująca pokój.

— Mama już wstała?

— A wstała. A mogłaby też wstać i panna Ida, bo późno.

— Maryanna zna Lenteckiego?

— A dlaczego by nie... Biedny człowiek. Swojego czasu to był on urzędnikiem i czapkę nosił. Nawet dobrze się mieli, bo on zawsze tam pensyę odbierał, a jego żona miała szkółkę i dzieci uczyła. Ale cóż, jak mu tam ta choroba przyszła, to go i z urzędu wygnali i żona go wypędziła.

— A cóż to za choroba?

— A no zwaryował przecie. A jak zwaryował, to go żona wygnała i... wzięła sobie chłopa...

— Ach, jaka niedobra!

tor słynnej broszury *Judenflinten* — Ahlwardt. Skazany za oszustwo, następnie wybrany posłem, wystąpił w sejmie z podobnem oskarżeniem przeciw posłom i obiecał dostarczyć dowodów. Przyparty do muru złożył je wreszcie przed delegacyą parlamentu, która zbadawszy mniemane dokumenty, przekonała się o nowej potwarzy. Jak tę nową sztukę odpokutuje Ahlwardt — nie wiadomo.

Serbowie tają prawdę co do rezultatu wyborów. Prawdopodobnie liberałowie albo uzyskali drobną, kilkogłosową przewagę nad radykałami, albo nie uzyskali żadnej i rząd nie będzie miał większości. Według ostatnich doniesień, regenci usunęli ministra robót publicznych, Alkowicza i handlu, Gwozdzicza; w miejsce zaś gen. Bogiczewicza, który zostanie trzecim regentem, tekę wojny obejmie Ostricz.

W austryackiej Radzie państwa zaszło dość gwałtowne starcie między młodo-czechami a członkami Koła galicyjskiego, którzy podczas obrad nad wnioskiem pierwszych wyszli z sali, usłyszawszy za to: „hańba polakom!"

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych nie chce potwierdzić rozporządzenia poprzednika co do wysp Hawajskich i polecił tę sprawę zbadać ponownie. Tymczasem jeszcze powiewa tam flaga Unii.

BADANIA NAUKOWE.

Z POGLĄDÓW I TEORYJ BIOLOGICZNYCH.

Ewolucya i epigeneza — dawniejsze i dzisiejsze.

Badacz dziejów wiedzy spotyka się na każdym kroku z faktami, pokazującymi, iż wszelkie nowe poglądy ogólne i teorye naukowe są po największej części tylko zastosowaniem dawnych do nowych grup faktów, a w miarę jak te nowe fakty są coraz ściślej i szerzej poznawane, ogólne zapatrywania bywają również dokładniej wyrażane i często tylko w najgrubszych zarysach zachowują podobieństwo do dawniejszych idei, które poprzedzały je w dziejowym rozwoju nauki. Ileż poglądów ogólnych przeszło do dzisiejszej fizyki z filozofii greckiej! Takie twierdzenia metafizyki Demokryta, jak: „z niczego nie staje się nic; nic, co istnieje, nie może być unicestwionem," albo „wszelka zmiana jest tylko połączeniem lub rozłączeniem się części" lub wreszcie, że „nic się nie dzieje przypadkowo, lecz wszystko z jakiejś przyczyny i z konieczności" — zawierają przecie w zasadzie wielką zasadę nowszej fizyki i mechaniki o niezniszczalności materyi i zachowaniu energii *). Nie ulega też wątpieniu, że dzisiejsza teorya atomistyczna, wprawdzie wielce różna od atomistyki Demokryta, zawiera jednak w zasadzie niektóre idee, właściwe tej ostatniej.

Gdy jednak nie będziemy sięgali tak daleko w przeszłość, gdy ograniczymy się na ostatnich kilku stuleciach, w których można łatwiej badać łączność następujących po sobie zapatrywań i ich związek bezpośredni z obecnemi, jeszcze bardziej umocnimy się w przekonaniu, że pewne idee ogólne, dotyczące danej grupy zjawisk, aczkolwiek w różnych momentach dziejów nauki pozornie zasadniczo różne, są częstokroć jedną i tą samą, z mniejszemi lub większemi zmianami zastosowywaną do nowych grup faktów, przykrawaną, że tak powiem, do coraz to nowych wymagań nauki. Jedną z niezmiernie interesujących kartek historyi wiedzy przedstawiają pod tym względem dzieje kształtowania się pojęcia t. z. ewolucyi i epigenezy w biologii.

Z chwilą gdy znakomity biolog angielski XVII stulecia, Harvey, wygłosił słynny aforyzm: „omne vivum ex ovo" (wszystko, co żyje, rozwija się z jaja), badacze zaczęli się zastanawiać nad tem, w jaki sposób z maleńkiego nieraz jajeczka rozwija się skomplikowany ustrój zwierzęcy, w którym wszystkie części i organy tak harmonijną tworzą całość. Biologowie XVII, XVIII a nawet pierwszego dziesiątka lat bieżącego stulecia nie mogli sobie wyobrazić, aby w jajku zwierzęcem, będącem zawiązkiem ustroju, nie istniały już w zaraniu części ciała tego ostatniego, nie mogli pogodzić się z myślą, aby substancya jaja, przedstawiająca się nam jako płynna i jednorodna zdołała się ukształtować w złożone ciało zarodka i młodego ustroju; doszli więc do wniosku, że w jaju znajduje się już cały przyszły ustrój zupełnie wykształcony, posiadający wszystkie części i organy a różniący się od dorosłego organizmu tylko tem, że jest niezmiernie malenki i zwinięty. Jak w pączku kwiatowym znajdują się już gotowe listki kielicha, płatki korony, pręciki i słupki, które w miarę jak pączek dojrzewa, rozkurczają się i prostują, tak też coś podobnego istnieje w jajeczku zwierzęcem, rozwój zaś jego polega tylko na powiększaniu się części już istniejących, na rozkurczaniu się ich i *rozwijaniu* (w jaju bowiem organy są według opisywanej tu teoryi zwinięte). Stąd powstała teorya „ewolucyi" (od wyrazu evolvo — rozwijam). Inaczej nazywano ją teoryą proformacyi czyli przedistnienia.

Ewolucyoniści twierdzili zatem, że w rozwijającem się jaju nic się nie tworzy na nowo, że odbywa się w niem tylko rozrost i co najwyżej pewne przeobrażenie się części. Jeśli jednak tych części i organów nie widzimy, to dlatego, że są niezwykle małe, tak drobne, iż nawet przez szkła najbardziej powiększające (jakich wówczas używano) nie można zauważyć ich i odróżnić, a nadto, iż, jak sądzono, są zupełnie przezroczyste. Twierdzono dalej, że w jaju znajduje się nietylko całkowicie wykształcony osobnik miniaturowy, ale że posiada elementy rozrodcze, zawierające również gotowe, miniaturowe osobniki następnego z kolei pokolenia, w którem zawarte są jeszcze dalsze pokolenia itd. itd., co znów nosiło nazwę teoryi wtłoczenia (Einschachtelungstheorie).

Dziwne te i nieprawdopodobne poglądy, nieoparte na żadnych ścisłych obserwacyach, lecz dedukcyjnie wyprowadzone, nie opanowałyby w tak wysokim stopniu wszystkich biologów XVIII wieku, gdyby nie to, że obrońcą ich i gorącym wyznawcą był jeden z najbardziej wpływowych i wybitnych uczonych tego stulecia, znakomity anatom i fizyolog, Albrecht von Haller *) (1708—1777). Mąż ten odznaczał się w owej epoce taką samą wielostronnością w naukach przyrodniczych, jak za naszych czasów Aleksander v. Humboldt. Wobec tego łatwo zrozumieć, iż poglądy jego miały ogromną ważność dla współczesnych mu uczonych. Otóż Haller w swojem słynnem dziele *Elementa physiologiae* twierdził, że w rozwijającym się płodzie niema żadnego nowotworzenia się („nulla est epigenesis"). „Haller wahał się długo, czy ma przyjąć pogląd, iż przy wzroście zarodka tworzą się na nowo pewne części, czy też, że odbywają się tylko przeobraże-

*) F. A. Lange. *Historya filozofi*; przekład polski 1881, str. 22.

*) Per. Die Praeformations und Metamorphosenlehre w dziele Carusa Sterne: *Die allegemeine Weltanschauung in ihrer historischen Entwickelung*, 1889.

— A podła baba! Nieszczęśliwe człeczysko kołacze się tak oto... sypia po sieniach, albo po ławkach w ogrodach. I że to nie zmarznie — to tylko pan Bóg wiedzieć raczy.

— A że nikt się nim nie zajmie, powinni by go wziąć do szpitala.

Maryanna machnęła ręką.

— Ja zawsze powiadam, że najlepiej na świecie złodziejowi. Latem żyje sobie, jak chce, a zimą ukradnie co, zaraz wezmą go do więzienia, siedzi sobie w cieple, dostaje kilka razy dziennie jeść i mięsa czasem. A człowieku poczciwy, giń z głodu, zdychaj pod płotem, jak ten pies. Żeby nie szło o tę duszę i żeby to nie był grzech, to każdy by wołał być złodziejem.

Idzie wydało się twierdzenie Maryanny nieco sofistycznem, chciała coś odpowiedzieć, ale służąca należała do tak zwanych „durgotów." Jak już raz zaczęła mówić o czem, to by gadała bez końca, opryskliwym, złym tonem.

— I waryatowi — powiada — dobrze na świecie: niech no tylko napadnie na kogo, pobije mu głowę, potłucze szyby, nawymyśla stójkowemu, to go zaraz wezmą do szpitala, dadzą mu oddzielny pokój, czyste odzienie, jeść kilka razy dziennie po ludzku, a cichy, spokojny niech zdycha, jak ten pies... Tak to już na świecie...

Ida zamyśliła się:

— A może ona ma trochę słuszności — pomyślała.

— Już tej biedy — prawiła Maryanna znowu — to tyle na tym świecie. Albo i z tą Anielką także źle... panna Ida zna Anielkę?

— Którą?

— A no tę Kaczkiewiczowej, toż ona przecie chodziła kiedyś na pensyę z panną Idą...

Ida przypomniała sobie. Rzeczywiście, kiedyś w drugiej, czy w trzeciej klasie uczyła się z nią razem Anielka Kaczkiewiczówna, córka gospodyni. Dobra była i ładna dziewczynka, pensyi nie skończyła, bo rzadko je kończą córki tych rozmaitych szewców i krawców, zadawalniające się kilkoma klasami...

— Cóż Anielka?

— At, źle z nią bardzo, ale po cóż głupia uwierzyła chłopu, a teraz... Dziecko, choroba, jeść nie ma co... Mieszkają z matką u Zylbra na Błoniu i mrą z głodu... póki była zdrowa, zarabiała, bo szyje dobrze, po jakie tam dwa złote, albo i więcej dziennie. I stara też zarabiała... A teraz... ot, żal się Boże... Ale po co głupia...

Cały dramat przeniknął przez głowę Idy. Młode, niedoświadczone, ubogie dziewczę... Nieczny uwodziciel obiecał ję poślubić, dziś księżnę za żonę bierze, a biedna dziewczyna ginie.

— Nie, ja jej zginąć nie pozwolę, ja jej dopomogę! — zawołała Ida z energią i usiadła na łóżku, przezwyciężywszy w jednej chwili słodkie lenistwo, które rozluźniło wszystkie jej stawy, łaskotało wszystkie mięśnie... Ciało cicho zaprotestowało lekkiem wyciągnięciem się przeciw energicznemu wysiłkowi, lecz duch zwyciężył, ku niemałemu zadowoleniu własnemu, i Ida zaczęła się ubierać.

— A nie zna Maryanna takiego z czerwonym nosem, w obszarpanym, wytartym paltocie, co się tu czasem u nas pod oknami włóczy?

— A to Symforyan pewnie, wysoki taki, gęba pijacka... O to, zdolny człowiek, tylko że pijak. On jest cyrulikiem i mnie nawet ząb raz wyrwał. Ma szyld, więc w dzień targowy postawi go gdzie przed szynkiem i sam goli tam i strzyże chłopów... I tych trojaków uzbiera nieraz dużo, ale zaraz przepije wszystko... Taki już pijus jeden.

(D. n.).

Wacław C-owski

nia istniejących już części, lecz własne jego studya nad zarodkami owcy oraz kurczęcia przekonały go, że płód kurczęcia tworzy się z maleńkiej tarczki zarodkowej w jaju kurzem, a wkrótce przekonał się też, podobnie jak wielki jego poprzednik, Malpighi (jeden z pierwszych biologów, który badał rozwój zwierząt za pomocą mikroskopu), że w tej tarczy zarodkowej znajdują się już od początku wszystkie części przyszłego zwierzęcia" (Carus Sterne). „Wszystkie wnętrzności — oto słowa Hallera — a nawet i kości są już zbudowane i w zarodku obecne, jakkolwiek prawie w płynnym stanie."

W końcu ubiegłego stulecia badacz niemiecki, Fr. Kacper Wolff, na podstawie studyów nad rozwojem przewodu pokarmowego kurczęcia osiągnął wniosek, że teorya ewolucyonistów jest błędną, że w jaju zwierzęcem nie istnieją żadne gotowe organy, ani części przyszłego ustroju, lecz że rozwój odbywa się stopniowo i powoli, przyczem jedne organy pojawiają się w zarodku wcześniej, inne później, według ściśle określonego porządku. Badania całego szeregu innych znakomitych uczonych, jak Ernesta Karola v. Baera, Remaka, Köllikera itd. dowiodły ostatecznie, że jajeczko zwierzęce, gdy się zaczyna rozwijać, dzieli się przedewszystkiem na coraz więcej komórek, czyli t. z. kul przewężnych, które układają się albo tak, że tworzą pełne (tj. niezawierające jamy) skupienie komórkowe, albo tak, że przedstawiają skupienie, opatrzone jamą środkową. Z początku wszystkie komórki zarodka są zupełnie jednakowe, wkrótce atoli następuje między niemi podział pracy, jedne tworzą warstwę zewnętrzną, inne wewnętrzną; następnie pojawia się znów warstwa środkowa ciała zarodka. Tu i owdzie występują luźne skupienia komórkowe pomiędzy istniejącemi warstwami, te ostatnie zaś tworzą różnego rodzaju fałdy, wpuklenia, wypuklenia, itd. itd., dając początek rozmaitym organom ciała.

Dziś tedy wiemy, że organizm rozwija się z produktów podziału komórki jajowej i kształtuje się drogą licznych bardzo i złożonych przemian. Nie jest to żadna hipoteza, ale fakt niezbity, o którym każdy może się naocznie przekonać, rozpatrując pod mikroskopem kolejne zmiany, jakim podlega rozwijający się zarodek. Wobec tego teorya ewolucyi w tem znaczeniu, w jakiem przyjmowali ją uczeni przeszłego stulecia, ma już tylko znaczenie historyczne. Dziś przyjmujemy t. z. epigenezę, tj. kolejne i stopniowe kształtowanie się ciała zarodka.

(D. n.).

H. T. Rozicki.

MĘŻCZYZNA I KOBIETA
W SPOŁECZEŃSTWIE PIERWOTNEM.

(Szkice antropologiczne).

I.

Przesądy myśliwskie i nasze zdania o towarzyskiem pożyciu człowieka pierwotnego. — Odrębność w życiu pomiędzy mężczyzną a kobietą. — Obozy i kluby męskie i nieistnienie życia rodzinno-domowego. — Wrażenia europejczyków. — Jedno ze źródeł tej odrębności.

Przed kilku laty usiłowaliśmy w *Wiśle* nakreślić rodowód niektórych przesądów myśliwskich, mianowicie głoszących, że spotkanie po drodze starej baby zwiastuje niepowodzenie. Przytoczyliśmy wtedy cały szereg pokrewnych zabobonów, które zapożyczyliśmy u najrozmaitszych ludów globu ziemskiego; z tego zestawienia porównawczego okazało się, iż nasze zwyczaje w tej mierze są jedynie znikomym szczątkiem przeszłości. U ludów pierwotnych mężczyzna, udający się na polowanie, winien powstrzymywać się od wszelkiego bliższego stosunku z kobietą. „Cały dzień — opowiada jeden ze sprawozdawców — przepatrywali oni góry uważnie, ale nadaremnie i już mieli wracać do domu z pustemi rękami, kiedy stary dzikus oświadczył węzłowato, iż biały człowiek zadrwił z niego i musiał dotknąć jakiejś kobiety. Żarty nie zdołały osłabić w nim przesądu — oddalił się o kilka kroków, upadł na kolana, a twarz zwrócił ku niebu, modląc się gorąco ze dwadzieścia minut... Kiedy skończył, powstał uroczyście i oświadczył, że teraz im się powiedzie." Kobiecie nie wolno również dotykać przedmiotów, służących wyłącznie mężczyznom. Zdaniem czerwonoskórych, zamieszkujących w pobliżu zatoki Hudsońskiej, broń np. staje się nieprzydatną do polowania, jeżeli kobieta przejdzie przez nią, a zbrodnię tę musi ona odkupić surową karą — rozszarpaniem nozdrzy. Gdzieindziej nie wolno było jej wchodzić do łodzi, która służyła do wypraw wojennych, a u nas jeszcze istnieje przesąd w okolicach Pińczowa, że gdyby kobiety przestępowały przez te rzeczy, w które zaprzęga się konie, przyniosłoby to koniom nieszczęście, z tego powodu przestrzega się pilnie, aby tego nie czyniły.

Kiedy po raz pierwszy zajmowaliśmy się zestawieniem tych przesądów, zgoła jeszcze nie mieliśmy pojęcia o tem olbrzymiem znaczeniu, jakie one posiadają. Jednak w ciągu lat kilku w naszem ręku nagromadził się obfity materyał, rzucający nader ciekawe światło na organizacyę pierwotnego społeczeństwa i rozszerzający wnioski, do jakich dawniej doszliśmy. Nietylko pozwala on nam skreślić niektóre właściwości rozwoju społecznego, dotychczas zgoła nieporuszone w nauce, ale nadto sięgnąć bardzo daleko w przeszłość, wyznaczyć stosunki pierwotnej hordy praludzkiej oraz wynaleźć rodowody wielu zwyczajów, niewytłomaczonych w sposób racyonalny przez wiedzę antropologiczną. Przedewszystkiem zaś usunął on pewne złudne poglądy na naturę społeczeństwa pierwotnego. Czytając opisy o swobodzie, jaką tu i owdzie posiada dziewczę, o istnieniu obcowania bezładnego, o ofiarowywaniu żony zabłąkanemu gościowi, umysł europejczyka czyni dalsze wnioski, a podstawą, na której je wznosi, są nasze zwyczaje towarzyskie, owe zebrania, kiedy płcie obie posiadają zupełną wolność rozmowy i zabawy. Atoli aby mężczyzna objął w tańcu kobietę i ośmielił się z nią rozmawiać, na to trzeba było wielu wieków rozwoju. Tymczasem byt pierwotny nie zna takiej swobody nawet w zakresie rodziny, a okoliczność ta, że stosunki małżeńskie nie są tak ścieśnione, jak u nas, zgoła nie staje na przeszkodzie wyodrębnieniu wzajemnemu płci. Pomiędzy zajęciami i zadaniami mężczyzny a kobiety istnieje przepaść nie do przebycia, każda zaś płeć żyje swojem własnem życiem, obca najzupełniej temu, co obchodzi drugą. Odrębność ta nastaje z tą chwilą, kiedy młode pokolenie zbliża się do okresu dojrzałości. Pewne ceremonie uświęcają tę epokę i odtąd pomiędzy towarzyszami i towarzyszkami zabaw nastaje surowo przestrzegana obojętność. Obrzędy te są zwłaszcza charakterystyczne, o ile dotyczą rodzaju męzkiego. Wyrostki plemienne przechodzą wtedy przez szereg wtajemniczeń, których jednym szczątkiem jest średniowieczny zwyczaj pasowania rycerskiego. Najdokładniejsze opisy tego obrzędu pochodzą z lądu australskiego, a ponieważ N. Holandya jest przytułkiem najniżej stojącej pod względem ewolucyjnym grupy rodu ludzkiego, otrzymane wskazówki posiadają tem większą wartość. Początkowe ustępy są symbolicznem przedstawieniem odjęcia wyrostków matkom. U murringów np. wszyscy dorośli mężczyźni opuszczają obóz i dopiero po pewnym czasie nadciągają szeregiem: z krzykiem i hałasem zaglądają do każdej chaty i zganiają z obozu wszystkie kobiety i dziatwę w jakieś miejsce wolne. Baby z dziećmi zbijają się w gromadę, na czele zaś stają matki tych chłopców, którzy mają być wtajemniczeni. Mężczyźni otaczają gromadę i porywają wyrostków wśród nieustającego hałasu. Obrzęd sam pozostaje tajemnicą dla kobiet, a o jego naturze my wiemy więcej w Europie, niż australki. Kobietom nie wolno się nawet zbliżać do miejsca ceremonii, chłopcom zaś powtarza się niejednokrotnie podczas obrzędów, że wszystko, co wiedzą, nie powinno wyjść z ust ich — pod karą śmierci. Wtajemniczenie to stwarza pomiędzy mężczyzną a kobietą stanowczą przepaść. Weźmy chociażby takich melanezyjczyków. W sumiennej pracy Codringtona czytamy o nich co następuje. Na N. Hebrydach, chłopiec w odpowiednim wieku przenosi się do klubu męzkiego, gdzie śpi i je. Wraz z tem rozpoczyna się dziwna i surowa wstrzemięźliwość w stosunku do własnych sióstr i matki. Zwłaszcza jest ona drobiazgową względem pierwszych; wyrostkowi nie wolno używać, jako zwykłego rzeczownika, wyrazu, który jest nazwą siostry lub stanowi część składową jej nazwy. Może on udać się do domu swego ojca po jadło, lecz jeżeli siostra znajduje się wewnątrz, musi odejść; kiedy jej nie ma, wolno mu usiąść w pobliżu drzwi i spożyć posiłek. Jeżeli przypadkiem brat spotka siostrę na drodze, ta ucieka lub ukrywa się. Jeżeli wyrostek pozna na piasku stopy swojej siostry, nigdy nie pójdzie ich tropem. To wzajemne unikanie ciągnie się przez całe życie. Powściągliwość pomiędzy synem a matką wzmaga się w miarę tego, jak syn dorasta. Jeżeli, przyszedłszy do domu, żąda jadła, matka je przynosi, lecz nie podaje, kładzie w pobliżu, aby sam wziął; jeżeli go woła, mówi doń w liczbie mnogiej; kiedy rozmawiają z sobą, matka siedzi w pewnej odległości i patrzy w inną stronę, gdyż wstyd ją bierze spoglądać na dorosłego syna." Młodzież, która przebyła wtajemniczenie, żyje obozem odrębnym u australczyków, który wśród grup rolniczych zamienia się na szczególną organizacyę klubu męskiego. U australczyków, przy urządzaniu szałasów, zwrócona jest silna uwaga na to, aby nieżonaci mężczyźni w żaden sposób nie mieli dostępu do kobiet, nawet podczas zabaw płcie obie nie spotykają się ze sobą. W pewnym wieku mężczyzna wstępuje w związki małżeńskie, a chociaż z wyjątkiem kilku okolic nocuje z żoną w tym samym namiocie, odrębność pomiędzy płciami zgoła nie ustaje. Oto kilka obrazków. U australczyków „mężczyzna żonaty i wdowiec mogą rozmawiać z kobietą zamężną i wdową, ale nie wolno im razem wydalić się z obozu o jakiejkolwiek porze dnia, chyba że towarzyszy im inna osoba zamężna; młodym kobietom nie pozwolono opuszczać bezpośredniego sąsiedztwa chaty." W nocy obóz australski przedstawia widok ciekawy — młodzież nieżonata obozuje w znacznej odległości, każdy zaś żonaty mężczyzna a tem bardziej zamężna kobieta siedzą przed szałasem, gdyż zwyczaj nie pozwala oddawać wizyt. Mężczyźni rozmawiają z odległości, nie widząc się wzajemnie. Na N. Hebrydach, mianowicie na w. S. Krzyża „w codziennem życiu spotykamy zupełną odrębność płci. Mężczyźni i kobiety nigdy nie pracują pospołu, ani nie zbierają się razem. Jeśli tworzy się zbiegowisko, kobiety stoją odrębnie." Socyologia europejska wyrwała z tego odosobnienia kilka zwyczajów, np. zachowanie się zięcia względem teściowej, ale nie zwróciwszy uwagi na całokształt zwyczajów, nie zawsze zdołała dotrzeć do jądra przyczyny, a niekiedy ją wprost fałszowała, przypisując początek sprężynom zgoła niewłaści-

wym. Wszędzie np. kobiety otrzymują jadło mięsne ze szczątków tego, co nie spożyli mężczyźni. Wytłomaczono to jarzmem, w jakie mężczyzna zaprzągł niby kobietę. Ale nie zwrócono najmniejszej uwagi na to, że kobieta podobnie wydziela mężczyźnie z dobytku swojej zapobiegliwości. Źródłem tego jest nie jarzmo, ale to, że każda płeć w domu posiada pewne przedmioty na swoją wyłączną własność, a w tej liczbie znajdują się też środki spożywcze, zdobyte przez odpowiednią płeć. Z tej samej przyczyny wypływa zwyczaj, że każda płeć spożywa pokarmy w swojem własnem kółku. Odrębność sama przyjmuje różne stopnie napięcia, lecz nigdzie nie doszła do takiego stopnia, jak na wyspach Oceanu Spokojnego, gdzie mnóstwo okoliczności złożyło się na to. Mężczyzna, póki nie stanie się głową rodu, żyje tam, tj. śpi i je, w klubie mężczyzn; nawet jako małżonek, nie przestaje czynić tego; dochodzi nawet do tego, że nie wolno mu dzielić wczasów z żoną, lecz musi spotykać się z nią w gąszczach leśnych, gdzie w tym celu posiada szałas. Przytoczymy w tej mierze świadectwo Ellisa, dotyczące wyspiarzy archipelagu tahityjskiego. „Bałwochwalstwo — powiada ten misyonarz — wywarło wszystkie swoje ujemne i śmiertelne wpływy nietylko na każdą chwilę ich bytu ziemskiego, ale nawet na każdą dziedzinę życia domowego, niszcząc wszelkie uczucie delikatne i wszystkie uciechy pożycia rodzinnego. Ojciec z matką i dziećmi nigdy nie obsiedli, jako jeden szczęśliwy sojusz, tego samego ogniska domowego, i zebrani pod wdzięcznym cieniem zielonego gaju nigdy nie korzystali, jako rodzina, pospołu z dobroci Opatrzności. Bezimienne, ale przyjemne uczucie, jakiego doświadczamy w takich wypadkach, było im nieznane, jako też wszystkie przyjemności, które przywykliśmy chrzcić ukochaną nazwą szczęścia domowego. Zwyczaj nakazywał, nie tylko że kobiecie nie wolno jeść tego samego pokarmu, jaki spożywają mężczyźni, ale też że nie będzie przyjmowała posiłku w tem samem miejscu, ani przyrządzała go przy tym samym ogniu. A ten zakaz obowiązywał nietylko żonę względem męża, lecz wszystkie osoby płci żeńskiej—w ciągu całego życia, od urodzenia aż do śmierci. Ani w chorobie lub cierpieniu, ani w jakiejkolwiek okoliczności, w których znaleźć się mogły żona, siostra albo córka, zasada ta nie bywała złagodzoną. Ognisko, na którem gotował się pokarm mężczyzn, było świętością, nie wolno bowiem było kobietom użyć go. Koszyki, w których trzymano środki żywności, i dom, gdzie mężczyźni obradowali, były też świętościami, zabronionemi kobiecie pod karą śmierci. Z tego powodu gorszy pokarm, przeznaczony dla córek, żon itd., gotowano przy odrębnych ogniskach i składano w osobnych koszykach; kobiety spożywały go zupełnie samotnie, w małych chatach, wzniesionych na ten cel.“ Autor przytoczonego ustępu, wychowany w atmosferze europejskiej, wszystko widzi w odpowiedniej barwie: odrębne życie obu płci utożsamia z upośledzonym stanem kobiety, pokarm jej uważa za gorszy itd., atoli sam zewnętrzny wygląd faktów, oraz wrażenie, jakie one czynić musiały na przybysza europejskiego, zostały oddane z możliwą dokładnością.

Słowem, stosunki, właściwe społeczeństwu pierwotnemu, wyglądają zgoła inaczej, niż nasze pożycie towarzyskie. Punktem wyjścia dla tych zwyczajów są różnice fizyologiczne pomiędzy płciami, które musiały odbić się na ukształtowaniu pierwotnego podziału pracy. Kobieta, skutkiem stanów, wynikających z jej macierzyństwa, była z konieczności istotą mniej ruchliwą i mniej zwinną — ściganie zwierzyny i wojna były dla niej zajęciami mało odpowiedniemi. Już nader wcześnie musiała ona zająć się głównie zbieraniem płodów roślinnych, dozorem legowiska; dozorowaniem, kiedy odkryto ogień, przyrządzaniem pokarmów, budowaniem szałasu. W miarę tego jak rozwój techniczny czyni dalsze postępy, podział pracy zostaje wtłoczony w te ramki pierwotne. Z czasem mężczyzna-myśliwy niektórych zwierząt nie zabija, ale zaczyna je oswajać. Z myślistwa wyłania się pasterstwo, zajęcia zaś, wynikające z tej zdobyczy technicznej, jako dozór nad bydłem, dojenie krów, przypadają z tego powodu w udziale mężczyźnie. U todów np. z gór nilgheryjskich kobiecie nie wolno było zbliżać się po za 30—40 kroków do ogrodzenia, w którem zamykano krowy. Z tego źródła też pochodzą wspomniane przesądy myśliwskie oraz nietykanie przez kobiety polinezyjskie rzeczy męża. Kobieta znowu odkrywa rolnictwo i bierze na siebie odpowiednią pracę. W ten sposób przedistniejące różnice fizyologiczne już z góry nakreślają drogę rozwijającemu się podziałowi pracy. A ponieważ prostaczy umysł jest nader skłonnym do otoczenia każdego żywiołowo rozwiniętego zwyczaju sankcyą przesądów, zjawia się przeto odpowiednia atmosfera nad tym podziałem i daje początek wielu stronom owej odrębności. Ale ta ostatnia pochodzi nie tylko z tych przyczyn. Działały tu jeszcze inne, donioślejsze sprężyny.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

H. TAINE.

(Szkic psychologiczny).

Est ce que vous adorez aussi *le crocodille?*“ — z takiem zapytaniem zwrócił się Taine do France'a z powodu demokracyi na kilka miesięcy przed śmiercią.

Gorzka ironia tych słów — i wielu podobnych — źle przykrywa głuche gniewy, które szemrały w ostatnich latach życia słynnego filozofa przeciw współczesnym. W prawdzie był on zawsze pesymistą i nie czuł zbytniej miłości ku bliźnim. „Człowiek jest zwierzęciem mięsożernem, jest niem z natury i budowy: ma kły na równi z psem i lisem i na równi z nimi zagłębiał je od początku w żywe ciało innych istot. Jego przodkowie zarzynali się kamiennymi nożami o kawałek surowej ryby. I teraz jeszcze nie jest zmieniony, lecz tylko ułaskawiony. Wojna panuje, jak niegdyś, tylko częściowo i w pewnych granicach.“ W ustach Taine'a twierdzenie to nie było bynajmniej ani paradoksem, ani kaprysem: jego umysł ścisły i dogmatyczny nie lubił tej lekkiej, musującej i różnobarwnej pianki, po której bujała wciąż wyobraźnia Renana. Był to wyraz głębokiego przekonania. Objawiło się ono tak jaskrawo w „Historyi początków Francyi współczesnej,“ iż autor ściągnął na siebie nienawiść i gromy we wszelkich obozach: dawni towarzysze broni oskarżyli go bodaj czy nie o zdradę przekonań, konserwatystom zaś, którzy z ducha sprzeczności chcieli go zawrzeć w objęcia, bryznął w oczy taką strugą żółci i prawdy, iż musieli go także zostawić w spokoju.

Zastanowmy się nad tem bliżej. Jako heglista Taine był zwolennikiem poglądu, iż wszystko, co jest, jest rozumne — gdyż ma dostateczne powody bycia i podlega zarazem zniszczeniu, lecz tylko w nader powolnej ewolucyi. Niema nic gorszego, niż gotowy system dla badacza: są to żelazne karby, w które trzeba wszystko wtłoczyć, a przedmiot musi bardzo często przechodzić przez łoże Prokrustowe. Rewolucya francuska, jako przewrót gwałtowny i jednorazowy, zbijała z tropu gotowe pojęcia filozofa, a ponieważ Taine nie chciał się wyrzec systemu, więc musiał krzywdzić przedmiot swych badań. Surowość jego sądów była tem bardziej nieubłagana, iż społeczeństwo jest dlań czemś w rodzaju organizmu. Organizm ten, wytworzony przez rasę, środowisko i wpływy historyczne, rozwija się podług swych odrębnych praw, które nic wspólnego z „państwem rozumu“ nie mają. Trzeba się biernie prawom tym poddać, gdyż mamy do czynienia z koniecznością. (Postęp odbywa się nie wbrew prawom rozwoju społecznego — jak tego chciała Rewolucya — lecz w zgodzie z niemi). Przesądy i nadużycia w urządzeniach powinny być cierpliwie znoszone, gdyż stanowią cząstkę żywego ciała.

Racyonalizm Rewolucyi i jej zasady, oparte na świadomości jednostkowej, były dla Taine'a zupełnie nienormalnemi. Ideały jej wydają mu się szaleństwem: są one wrzekomo w sprzeczności z prawami natury. Zamiast braterstwa chce ona walki o byt, zamiast wolności — posłuszeństwa; równość zaś jest chimerą, gdyż społeczeństwo, jak każdy organizm, wciąż się różniczkuje, musi zatem się składać z przełożonych i poddanych i z fachowców, a nie z wszechstronnie rozwiniętych jednostek. Człowiek nie jest z „natury dobrym,“ jak tego chcieli filozofowie Rewolucyi, lecz, przeciwnie, dzikiem zwierzęciem, zaledwie uśpionem. Wychodząc z takich założeń, Taine musiał spoglądać w sposób nader posępny na tę ważną w dziejach ludzkości epokę i na wszystkich jej działaczów. Tylko wojna przeciw koalicyi najezdców zdobywa jego poklask i to jedynie dlatego, iż była jakby wprowadzeniem Rewolucyi napowrót w ogólne prawa natury, z walką o byt, z nierównością uzdolnień i potrzebą posłuszeństwa.

Z drugiej strony i system przedrewolucyjny nie mógł wyjść zwycięzko wobec poglądów Taine'a. Teorya organiczna łączy się u niego z sympatyą dla angielskiego konstytucyonalizmu. Ciało społeczne powinno zawierać nie tylko mózg, ale i ośrodki miejscowe, czynne i poniekąd niezależne. Flozof musiał więc uważać centralistyczną monarchię Ludwika XIV za coś nadzwyczaj potwornego, również jak i płochą, bezczynną szlachtę francuską, wobec energicznej i spełniającej swe obowiązki arystokracyi angielskiej. Ten ogólny splot poglądów społecznych charakteryzuje bardziej Hegla i Spencera, niż Taine'a, ale charakteryzował i Taine'a mianowicie pod tym względem, iż jego pesymizm w nim się lubował. Systemy filozoficzne są zwykle wyrazem temperamentu ich autorów — i niczem więcej. Wiedza nie posiada jeszcze dość danych ścisłych, aby czynić tak obszerne uogólnienia: pozbawiony więc gruntu faktycznego umysł musi się oprzeć na uczuciowości autora. Jest to w danym razie tem bardziej uderzające, iż z tego samego systemu, względem tegoż samego przedmiotu inni uczniowie Hegla wyprowadzili wprost odwrotne wnioski. Mianowicie skrajna lewica heglistów (Marx-Engel), wychodząc z ogólnej dyalektyki mistrza, zbudowała teoryę, która tłomaczy W. Rewolucyę, jako zjawisko nie patologicznego, lecz normalnego rozwoju społeczeństwa. W rzeczywistości „Historya początków Francyi współczesnej“ Taine'a jest raczej dokumentem dla badaczów tego ducha, niż dziejów tamtej epoki.

Daleko bardziej stanowczym był wpływ filozofa na krytykę, z której zrobił psychologię stosowalną. Być może, iż znajdujemy się tu wobec jednego z objawów epoki zdenerwowanej, obawiającej się hałasu i energii. Ogólne znużenie lubuje się w takiej pobłażliwości, która nie wyklucza

żadnego kierunku, ani smaku — zadawala się raczej zrozumieniem wszystkich. Krytyka jest dla Taine'a swego rodzaju botaniką duchów, która rozpatruje dusze artystów, jako rzadkie nadzwyczaj okazy kwiatów. „Wogóle — powiada filozof — mózg jest zmysłem najczulszym i zdolnym dostarczać nam największych rozkoszy.“ Trzeba przyznać, iż miał smak nadzwyczaj wybredny i wyszukany. Jest w tem wyznaniu jakiś odcień sybarytyzmu Don Juana wyższych polotów, który spogląda na młodą duszę dopiero rozkwitającą i posyłającą pierwsze swe barwy i pierwsze zapachy, jak na świeży wstydliwy kwiatek, skropiony rosą: co za rozkosz wciągać je w siebie z żarłocznością upioru! Z rozwojem smaku to nie wystarcza: pożądliwe oko szuka roślin rzadkich, bujnych, chociażby jadowitych, jak tropikalne. Znawca psycholog najpilniej szukać będzie w ludzkości, tym olbrzymim sadzie dusz — marchewek, pietruszek, bobu, maków, łopuchów — nie tylko ukrytych wstydliwie fijołków lub rozkosznie rozkwitłych róż herbacianych, ale tych kwiatów o najsubtelniejszych aromatach i najbogatszych barwach, dusz artystów.

Psycholog interesować się będzie nie tylko duszą pojedynczą, ale ich grupami. Dla znawcy wszelkie towarzystwo ludzkie przedstawia całe pole spostrzeżeń. Wyobraźcie sobie, że czaszki waszych sąsiadów są przezroczyste, albo też — ponieważ większość głów ludzkich to głowy do pozłoty — że czaszki te są na zasuwkach, które można odmykać i oglądać. Co więcej, psycholog może tu obrać nie tylko rolę bierną spostrzegacza, ale czynną, człowieka wpływającego na wypadki. Społeczeństwo jest olbrzymiem polem doświadczeń. Barrès przyznaje, iż karyerę polityczną obrał, jako zwykły „essai“ psychologiczny. Chodzi tu o wypróbowanie swej woli w zetknięciu z całą grupą innych wól. Ze wszystkich tych rodzajów Taine ma smak biernego spostrzegania, żarłoczność duszy ludzkiej w najlepszych jej okazach, co zaspokaja jego niewątpliwie artystyczną wyobraźnię, a także zmysł naukowy. Krytyka jest dlań rozdziałem psychologii, dzieło zaś znakiem duszy, którą trzeba odbudować. Żadna bijografia nie pozwoli nam nigdy tak poznać artysty, jak to nam jego dzieła czynią. Co my wiemy o duszy Beethovena z najbardziej szczegółowej bijografii? Prawie nic. Bakałarz, zmuszony przez tyranię nędzy do najbardziej poniżających kompromisów, nadużywający swego *van*, jako tytułu szlacheckiego, czem nie był, aby się utrzymać w towarzystwie wyższem!.. Duszę namiętną i marzycielską poznajemy dopiero z jego utworów. Jest rzeczą powszechnie znaną, iż rzadko artysta w obcowaniu osobistem sprawia na nas takie wrażenie, jakiego oczekiwaliśmy z dzieł. Istotę wewnętrzną oddziela od istoty społecznej przepaść cała. Istnieje odwieczny przesąd, każący sądzić o ludziach z ich postępków. Charakteryzują one po największej części duszę tak mało, jak np. odzież, są bowiem zwykle skutkiem okoliczności zewnętrznych, często nawet chwilowych i sztucznych. Weźcie nawet złodzieja, prostytutkę. Czegoż ich grzechy dowodzą? W 99 wypadkach na 100 niczego — nacisku nędzy, lub chwilowego szału zmysłów, w których dusza nie przyjmowała żadnego udziału i skąd dzięki tyranii przesądów społecznych powrotu niema.

Na odbudowaniu duszy artysty z jego dzieł polegała krytyka Taine'a. Ale on nie zadawalał się tem: śledząc w dalszym ciągu rozwój łańcucha przyczyn i skutków, starał się określić, jakie warunki wytworzyły samą duszę artysty. W tej dziedzinie badań trzymał się on znowu metody dyalektycznej Hegla. W swem studyum o Carlyle'u przedstawia ją w sposób następujący: „Polega ona na jednej idei, a mianowicie na idei rozwoju, która rozpatruje wszystkie części pewnej grupy, jako solidarne i uzupełniające się, tak że każda z nich uwarunkowywa resztę, i że wszystkie razem w połączeniu uwidoczniają swem następstwem i kontrastami cechę wewnętrzną, która je łączy i wytwarza.“ Ta *cecha wewnętrzna*, nazywająca się u Hegla *ideą*, przybiera u Taine'a nazwę *faktu panującego* (fact dominateur). Chodzi o to, iż Taine był wielbicielem nie tylko heglizmu, ale i nauk ścisłych — wychował się i wyrósł pod wpływem obu tych kierunków, z których jeden panował w Niemczech, drugi we Francyi — i starał się połączyć je zgodną harmonią. Dla filozofa francuskiego istotę natury i ducha stanowi nie rozwój „idei,“ lecz faktów, materyi znajdującej się w ruchu, którą można badać zapomocą zmysłów, zamiast zagłębiania się w duchu i rozwój „czystej idei,“ jak to sam Hegel czynił.

Wracamy wszakże do pytania, któreśmy wyżej postawili: jakie warunki wytwarzają duszę artysty i duszę każdego człowieka wogóle? Rozumie się, „dusza“ nie jest dla Taine'a żadną odrębną istnością, lecz tylko łańcuchem faktów świadomości, które na równi ze wszelkimi innymi podlegają badaniu ścisłemu. Analizując pewnego ducha, układa sobie listę faktów, w których on się przejawił, śród nich szuka głównych (faits dominateurs), które określają inne. Porównywając zaś „fakty panujące,“ zdobyte z badania całego szeregu duchów, odnajduje w końcu kilka praw najogólniejszych, które rozwijając się i komplikując bez końca, wydają całe bogactwo życia psychicznego i jego zdarzeń. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż takimi czynnikami twórczymi są według Taine'a: rasa, otoczenie (milieu) i moment. One to w rozmaitem połączeniu wydają duszę wymoczka, przeciętnego śmiertelnika i geniusza.

Taine szuka więc głównie rodowodu dzieła i artysty: w ten sposób zrobił z krytyki rozdział psychologii. Jest to stanowisko zupełnie usprawiedliwione, ale jednostronne, wywołane właściwościami duchowemi filozofa. Ludzie z inaczej uorganizowanym mózgiem szukać będą w dziele głównie wrażeń i suggestyi, które ono w nich wzbudza: będzie to krytyka impresyoniczna. Inni nareszcie ze względu na to, iż dzieło jest faktem społecznym i wywołuje cały szereg skutków, będą je rozważać, wzmacniać lub osłabiać — to nareszcie będzie krytyka społeczna i moralna. Nietylko pierwszy rodzaj, wskazany przez Taine'a, może być nazwany objektywnie naukowym, ale pod tym względem zachodzi jeszcze pytanie, czy on nie przypisywał zbytecznej wagi rasie, otoczeniu i momentowi w wywołaniu tych tajemniczych splotów psychicznych, które stanowią geniusz? Czy po odtrąceniu tych wpływów nie zostaje jeszcze coś innego? Na zarzuty te niepodobna dać stanowszej odpowiedzi. Daleko poważniejszy jest zarzut, iż Taine spuszczał wciąż z uwagi, że geniusz jest nietylko wytworem pewnych warunków, ale że jest sam źródłem nowych, ogniskiem, z którego rozbiegają się prądy, łączące ludzi w nowe ugrupowania społeczne. Wogóle zaś w krytyce swej, jak ona się przejawiła np. w „Historyi literatury angielskiej,“ autor zbyt wiele znaczenia przypisywał warunkom zewnętrznym— wychowaniu, otoczeniu, rasie, wypadkom życia osobistego — które w żaden sposób nie wytłomaczenia istotnych geniuszów nie wystarczają. Zdaniem naszem, fakty życia zewnętrznego u zwykłych śmiertelników są w większości wypadków niezależnie od istoty wewnętrznej. Dlatego też charakterystyka takiego np. Shelleya jest u Taine'a dość powierzchowna: trzebaby tu zwrócić więcej uwagi na pracę wewnętrzną ducha, niż on to uczynił.

Krytyka była zresztą dla Taine'a tylko częścią ogólniejszej nauki, której się przez całe życie oddawał — psychologii. Wszystkie prace jego, pomimo całej ich różnorodności, miały zawsze jeden wspólny cel. Jedna zagadka jaśniała wciąż przed nim, zagadka duszy ludzkiej, którą chciał wytłomaczyć w sposób naukowy wszędzie, gdzie tylko ona się przejawia. Dzieło o „Inteligencyi“ jest ogólną próbą rozłożenia mechanizmu życia umysłowego i wyjaśnienia jego funkcyj. Następnie badał duszę ludzką w literaturze, sztuce i nareszcie w życiu czynnem, społecznem, w historyi. Wszędzie zaś kieruje nim ogólna zasada determinizmu, która kazała mu orzec, iż piękno i brzydota, cnota i występek są tylko produktami, jak cukier i witryolej. Ale przez dziwną i zresztą zrozumiałą ironię, on, który w filozofii zaprzeczał różnicy między cnotą a występkiem, sądził działaczów Rewolucyi właśnie z punktu widzenia moralności: przyznaje bowiem odpowiedzialność społeczną. Wyrazy: „zbrodniarz, potwór, przewrotny“ spotykamy na każdej stronicy jego historyi — i można nawet powiedzieć, że z powodu masy tego rodzaju drobnych szczegółów, na które zwrócił główną uwagę, traci zupełnie z oka ducha istotnego badanej epoki, jej ogólne prądy i dążenia. Być może, iż przy wydawaniu tak surowych sądów kierowała nim myśl odpowiedzialności za własne doktryny filozoficzne i możliwy ich wpływ. Jest faktem niewątpliwym, iż wojna z r. 1870 i Komuna wywarły nań bolesne wrażenie i że klęski te uważał za naturalny owoc Rewolucyi. Ta myśl o odpowiedzialności za swe doktryny doprowadziła go do wielu ustepstw, a nawet poniżających kompromisów względem świata. O ile był śmiałym myślą, o tyle tchórzliwym w czynie. Jakże inaczej objaśnić te ceremonie, których żądał dla swego ciała po śmierci? Czyżby to była gryząca ironia, rzucona w oczy „krokodylowi“ tłumu? Chyba nie. A w takim razie jest straszną obłudą. Jakże inaczej objaśnić dziwne dla filozofa wychowanie, które dawał swym dzieciom? Było to nietylko liczenie się z opinią, ale bałwochwalcze przed nią uchylanie się. Żaden dziki nie uwielbiał swego krokodyla tak pokornie, jak Taine tłum-demokracyę, wprawdzie z wewnętrznymi buntami, sarkaniem i ironią, ale uwielbiał. Na nim sprawdzić możemy, do jakiego poniżenia doprowadzić może teorya poddawania się panującym przesądom. Może stąd pochodzić stałe i zrezygnowane rozgoryczenie filozofa. Bourget objaśnia je jako ogólny skutek determinizmu: człowiek, który przez całe życie pracował dla dowiedzenia mechaniczności duszy, musiał nareszcie poczuć jakieś wewnętrzne oburzenie i rozpacz, hamowane jednak przez dumę, gdyż i one podlegają ogólnym prawom mechaniki. Ale iluż to ludzi jest zadowolonych i szczęśliwych, pomimo że wyznają toż samo *credo* filozoficzne? Weźmy chociażby Renana, który także był deterministą, tylko jeszcze bardziej posuniętym w kierunku beznadziejności, bo jeżeli Taine posiadał we wszystkich kwestyach dogmatyczną pewność ścisłego badacza, to Renan był natomiast nieograniczonym sceptykiem. I pomimo to pierwszy był hypokondrycznym pesymistą, drugi — najbardziej zadowolonym z optymistów. Uczucia nasze bardzo mało zależą od naszych systemów filozoficznych. Obaj byli wielkimi artystami — w tem może kryje się główny powód ich wpływu. Pozostawili oni na umysłowości naszej epoki ślad niezatarty, który można śmiało porównać z wpływem Montesquieu'go i Voltaire'a na psychologię XVIII stulecia.

L. W.

TEATR.

Kraków, 18 marca.

D. Zgliński, *Jakób Warka.*

Obchodziliśmy tu d. 11 b. m. wielkie święto teatralne... P. Rygier obrał sobie na benefis sztukę Daniela Zglińskiego, wyróżnioną na konkursie *Kuryera warsz.* pierwszem zaszczytnem odznaczeniem. „Jakóbowi Warce“ nie tyle zaszczyt przynosi owo „odznaczenie,“ którem w zbytniej hojności darzono nawet bardzo zdawkową lichotę, ile istotna jego wartość. Żądza pieniędzy — krew, życie, ideał przemysłowca Warki — trawi i niszczy w nim wszelkie szlachetniejsze dążenia i moralne instynkty. Wzbogaciwszy się krzywdą słabszych od siebie, zrujnowawszy między innymi niejakiego Schmidta, rozstawia niecne sieci dla zduszenia w nich nienawistnego sobie, podupadłego już szlachcica, Piotrowskiego. Z zamiarów swoich zwierza się młodemu Schmidtowi, o którego ojcu, zda się, już zapomniał. Ten udając życzliwość dla Warki, w gruncie serca pała żądzą zemsty: podsuwa mu tedy plan piekielnej machinacyi, którą siebie zamierza wynieść, Piotrowskiego — uratować, Warkę zaś zgnębić. Syn Jakóba, Józef Warka, człowiek niezły, bezczynnością i użyciem znużony, kocha szczerem uczuciem córkę Piotrowskiego, Ludwikę. Miłości tej chwycił się, jak rozbitek przystani, to też niechęć ojca dla Piotrowskich, jego zdradzieckie względem nieszczęśliwej rodziny knowania, wreszcie opieranie się związkowi z Ludwiką, duszą w nim resztę niebardzo i tak już silnych uczuć synowskich. Kiedy Schmidt nieostrożnem słowem zabija chorego na serce Piotrowskiego, Ludwika, upatrując w intrygach starego Warki przyczynę zgonu swego rodzica, wiedząc nadto, że on małżeństwu jej z Józefem był przeciwny, zrywa wszelkie z narzeczonym stosunki. Nie znając jeszcze tego jej postanowienia, Warka usiłuje ostatecznie odciągnąć syna, dając mu do zrozumienia, że panna Piotrowska jest jego... córką. Potworne to kłamstwo i utrata narzeczonej podkopują do reszty stargane użyciem i alkoholem nerwy Józefa, czyniąc zeń ofiarę melancholii i obłędu. Wiadomość o chorobie Józefa budzi w Ludwice przygłuszone siłą obowiązku uczucia — lecz niezdolna go już jest uzdrowić. Józef strzałem odbiera sobie życie, Schmidt, dopiąwszy celu, tj. zrujnowawszy Warkę, z majątkiem jego znika, zniszczony zaś Warka z gruzów sypie jeszcze złotym piaskiem, którym oślepić chce oczy opinii publicznej. To przedśmiertne podrygi konającej w gorączce złota duszy kapitalisty.

Autor przedstawia w dramacie trzy typy społeczne: kapitalistę, podupadłego, ale uczciwego jeszcze szlachcica i znużonego syna *fin de siècle*'u — dekadenta. W zaciętej walce o pieniądz wilk pożera jagnię, sam jednak staje się pastwą lisa, o przebiegłym rozumie i ostrych pazurach. Nasyciwszy chciwy żołądek krwią wielu od siebie słabszych, bo „jedną krzywdą — jak mówi Mirowa, pomocnica Schmidta, intrygantka i kokietka — nie stanęła jeszcze żadna fortuna.“ Warka pożąda ruiny tego, kto mu w szybkiem wznoszeniu się po szczeblach powodzenia nieraz podstawił nogę. Piotrowski ginie, bo podstarzała szlachta, o mózgach słabych i sercach żywionych nie wolą i energią, lecz nadzieją jedynie, zginąć musi, skoro runie nadzieja; ale ginie i Warka, bo Schmidt, mszczący krzywdę ojca, kocha też pieniądz, a miłość tę podsyca żarem nienawiści dla człowieka, którego chce być panem, nie sługą. Zwycięża, bo czai się, postępuje chłodno, rozważnie, skrycie, ten jeden tylko cel mając na oku. Nienawiść dla Warki jest w nim głodem drapieżnego zwierzęcia, które wie, że nasycić głód zdoła tylko — podstępem. Warka pragnie też zguby Piotrowskiego, ale pragnienie to jest żądzą człowieka, który jeszcze nigdy od biesiady zemsty głodnym nie odszedł. Podczas gdy Schmidt obserwuje, bada, zabezpiecza się ze wszech stron, Warka nie przypuszczając możliwości niepowodzenia, nigdzie nie dostrzega zasadzki i sam wpada w potrzask. Obydwoma powodują jednakie motywy — zemsta i żądza pieniędzy. Dramat p. Zglińskiego wykazuje bardzo wyraźnie, jakie z instynktów tych rodzą się czyny i jaka z ich wyziewów powstać musi atmosfera moralna. W atmosferze tej dusi się i ginie Józef, który przeklinając ją i jej wytwórców, przedstawia całą jej zgrozę w obrazie zrujnowanego swego życia. Rdzewieją w niej uczucia tak czyste, jak miłość młodzieńcza; paczą się uczciwe popędy ludzi nieprzebiegłych, prostych, głupkowatych, ale dotychczas rzetelnych; wreszcie mnożą się bakcyle, których przeznaczeniem jest toczyć nieprzegniłe jeszcze części ciała społecznego.

Autor, który bóle i żale Józefa odczuł szczerze i głęboko, w staraniu o uwidocznienie ich przyczyn i składników zaniedbał trochę akcyę, nie dość umotywował Schmidta, często posługuje się jednym i tym samym czynnikiem psychicznym (obojętnością), gdy idzie o skłonienie kogoś do gorąco pożądanego w danej chwili postępku. Jest to motyw bardzo prawdziwy, psychologiczny, ale wyzyskany zbyt często, w małych przerwach czasu, co ujednostajnia wątek i nuży.

M. G.

ODCZYTY.

Dr. Julian Ochorowicz. *Tajemnice kapłanów egipskich.* Edmund Jankowski. *Świat roślinny w stosunku do człowieka.*

Julian Ochorowicz przez cztery wieczory bawił słuchaczów tajemnicami, działającemi w starożytności na wyobraźnię tłumów i podtrzymującemi powagę kapłanów ówczesnych. Wszystko, co dotyczy efektów, złudzeń, magii, znaków symbolicznych, cudownego uzdrawiania środkami nielekarskimi, prelegent skupił w swoim długim wykładzie i najszczegółowiej traktował dziedzinę znachorską. Siedliskiem światła nierozpraszającego mroków pod czaszkami wielkich gromad ludzkich w starożytności, były — świątynie; zwykłym atoli śmiertelnikom nie wolno było przekraczać progu tych przybytków, jak również bez pośrednictwa kapłanów przesyłać uczuć religijnych sile wyższej. Tylko wybrani mogli wchłaniać promienie światła i rozkoszować się jego wpływem. Kto chciał mieć do czynienia z ołtarzem wiedzy, musiał przebyć ciężkie proby, rozwiązać zawiłe łamigłówki nauki, wykładanej rozmyślnie w sposób ciemny. To też garnęli się do kapłanów tylko ludzie niepospolici, dążyli do źródła wiedzy nawet z dalszych krajów. Do tej kolebki mądrości nad Nilem udał się również Pythagoras z Samos i następnie po zwalczeniu przeszkód wrócił do ojczyzny, ażeby w niej szkołę myśliciel stworzyć. W pogoni za światłem ciężkie przebył próby Diagoras z Melos. W opowieści jego przygód odsłania się szereg tajemnic kuglarstwa działających na wyobraźnię i przerażających mniej odważnych kandydatów do zawodu kapłańskiego. Komu raz pozwolono poznać owe tajemnice oparte na najprostszych podstawach chemii i fizyki, ten musiał złożyć przysięgę na zatrzymanie ich przy sobie. Oburzony na to oszustwo Diagoras był ścigany wyrokiem śmierci. Kapłani starożytni umieli istotnie dużo w stosunku do swej epoki; znali sposób wyrabiania szkła i nadawania mu barw odpowiednich, łączenia różnych metali, siłę magnetyzmu itd. Naturalnie ta potęga — wiedza była tylko środkiem podniecania wyobraźni tłumów i wyrabiania w nich czci dla wybrańców. Znajomość w pewnej mierze niektórych środków chemicznych ułatwiła także doskonałe balsamowanie zwłok, wynikające z wielkiego kultu dla umarłych.

Obszernie i z widocznem zamiłowaniem prelegent mówił o medycynie w starożytności. Świecka oparta na najprostszych lekach, mniejsze miała znaczenie niż medycyna kapłanów, polegająca na wpływie duchowym. Ówczesne świątynie oddawały shorym takie usługi, jak obecnie ambulatorya. Autosuggestya, wiara, otucha i wogóle wszelkie wstrząśnienia moralne stanowiły cały zapas środków leczniczych. Jednym z najgłówniejszych sposobów było usypianie. Chorzy, pogrążeni w śnie, sami dyktowali sobie środki uzdrawiające. Taki np. wypadek wyleczenia ślepego za pomocą śliny cesarza Wespazyana, prelegent tłomaczy objawem suggestyi. Niewątpliwie w wielu razach czynniki duchowe wpływały (jak to mamy przykłady i dzisiaj) na uzdrowienie. Dla efektu były one jednak ubierane, również jak dzisiaj, w szaty znachorstwa, chętnie poszukiwane nietylko przez owczarzy, lecz i cudownych uzdrawiaczy inteligentnych, o których cośby mógł nam powiedzieć p. Ochorowicz. Przyznać trzeba prelegentowi, iż bardzo zręcznie zestawił zjawiska suggestyi, jasnowidzenia, wreszcie dyagnozy starożytnej z dzisiejszą formą hypnotyzmu i określaniem chorób przez lekarzy. Wogóle p. O. znaczną część swych odczytów poświęcił dziedzinie duchowej, ozdobił wykład cytatami z filozofów i bajarzy starożytnych. W całym tym przedmiocie starał się uwydatnić stan moralno-duchowy ówczesnych ludzi, ich pojęcia religijne, społeczne i etyczne, wreszcie polot wyobraźni i myśli, usiłującej przebić mroki lub się do nich przystosować.

Bardzo ciekawym i pożytecznym dla słuchaczy był odczyt p. Edmunda Jankowskiego. Prelegent ma wielki dar pięknego mówienia i popularyzowania ulubionej przezeń dziedziny wiedzy przyrodniczej. Od lat wielu przemawia on do ogółu bądź z katedry, bądź za pośrednictwem prasy, zachęca gorąco do pielęgnowania roślin pożytecznych. Czy dotąd słowa jego dały jakikolwiek rezultat — sprawdzić jeszcze nie mieliśmy sposobności. I tym razem roztoczył przed słuchaczami piękny obraz świata roślinnego, zaznaczył jego stosunek do człowieka w zakresie użytkowym i moralnym. Człowiek pierwotny mało mógł korzystać z tych darów przyrody, żywił się lichemi korzonkami, z czasem zaś poznał wartość wielu roślin, odkrył ich pierwiastki pożywne, jął nietylko niemi się karmić, ale i przyodziewać. Starożytnym znany był chleb, jego zaś resztki, znalezione w grobowcach i piramidach, świadczą, że dzisiejszy nie jest o wiele lepszym od tego, który był używany przed tysiącami lat. P. Jankowski scharakteryzował stopniową kulturę wielu roślin pożytecznych dla człowieka, przedstawił ich okazy pierwotne i późniejsze, wybujałe i uszlachetnione pod działaniem umiejętnej ręki ludzkiej. Ogrodnik, to jest większy czarodziej niż cudotwórcy, opisani w odczytach p. Ochorowicza; umie on niepozorne kwiatki przekształcać na piękne barwne i pełne, stwarzać liczne odmiany. Dobry ogrodnik jest nie tylko zatem pożądanym wytwórcą udoskonalonych owoców, lecz zarazem w wysokim stopniu estetykiem, podnoszącym to, co w świecie roślinnym walka o byt upośledziła. Dzięki postępom kultury i nauki w tym zakresie, człowiek dziś nietylko zaspokaja smak

wysoce wybredny, lecz pieści wzrok i powonienie przepięknymi okazami kwiatów, wreszcie wykwintnie się przyodziewa za pośrednictwem włókien roślinnych. Stosunek świata roślinnego do ludzi nie na tem się ogranicza. Działa on leczniczo na organizm człowieka; osusza wilgoć (jak np. eucaliptus), odświeża powietrze itd.

Na ten temat mówił pan Jankowski. Przedmiot nie nowy, ale przypominanie jego ogółowi nigdy nie będzie zbyteczne. Wykład jasny i prosty, wypowiedziany gorąco przez prawdziwego miłośnika przyrody, przykuwa słuchaczów. Szkoda tylko, że się zebrała ich bardzo szczupła gromadka. Może temu winni organizatorowie odczytów. Dla czego bowiem o p. Ochorowiczu na długo przed prelekcyami obwieściły duże czerwone afisze, gdy o p. Jankowskim tylko wzmianki w prasie?

Zn. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Powrót zimy.

Krótko mówiąc, tego samego dnia, w którym według terminu astronomicznego miała przybyć do nas wiosna, powróciła zima. Nie jest wyłączone prawdopodobieństwo, że za śniegiem przyjdą mrozy, że Wisła znowu stanie, że znowu ruszy, że reporterzy znowu jeździć będą wozami po jej „odmętach“ itd., wogóle, że okrutna władczyni w białym płaszczu, w którym tyle nędzy błaga o ciepło i światło, rozciągnie swoje panowanie do ośmiu lub dziesięciu miesięcy, jak to nieraz czynić zwykła. Ludzi trapi myśl, że rok kalendarzowy nie zgadza się z astronomicznym o ileś tam minut i chcieliby rachubę czasu zastosować ściśle do prawidłowości ruchu ziemi i słońca. Nas nie powinny obchodzić takie drobiazgi, gdyż przedewszystkiem należałoby poprawić grubsze omyłki. Dotychczas zaznaczamy: od stycznia do końca marca zimę, od kwietnia do końca czerwca wiosnę, od lipca do końca września lato, od października do końca grudnia jesień. Tymczasem cały ten podział jest wierutną bajką, której nikt nigdy nie widział urzeczywistnioną. Właściwie bowiem należałoby oznaczać: od czerwca do września lato z przypomnieniami zimy, a od września do lipca zima z przypomnieniami lata. To by dopiero odpowiadało istotnemu przebiegowi pór roku u nas. Że one bywają kapryśne, że nieraz w grudniu jest wyższa temperatura, niż w lipcu, że drzewa kwitną w jesieni a nie kwitną na wiosnę, nieprawidłowości takie należą do wyjątków, zachodzących w każdej regule. Nadewszystko zaś powinniśmy zupełnie skasować wiosnę. Można było nadawać jej znaczenie osobnego okresu w ciągu roku, dopóki mieliśmy znakomitych poetów, którym należało zrobić to ustępstwo. Dziś jednakże kłamać w kalendarzu dla przyjemności kilku szczygłów Parnasu, ogłaszać, że od kwietnia do czerwca trwa ciepła, pachnąca, śpiewająca, rozkoszna wiosna, kiedy ją zaledwie przypomina kilka lub kilkanaście dni — czyż warto? Lepiej się nie łudzić.

Wbrew tradycyi.

W Towarzystwie wioślarskiem zebrała się jakaś burza i sprowadziła gromy na naczelnika przystani, którego ostatecznie sąd honorowy ukarał surowym wyrokiem za złe gospodarowanie funduszami i wykreśleniem z listy członków. Ażeby nasze uwagi nad tym faktem nie były źle wytłomaczone, uprzedzamy, że ani istota zatargu, ani wina p. W. nie są nam znane i że wogóle nie myślimy tu stwierdzać lub obalać wydanego przeciw niemu wyroku, gdyż jest to wypadek drobny i wyłącznie należy do wewnętrznych spraw Towarzystwa. Chcemy tylko podkreślić niezwyczajny w naszych obyczajach fakt odwagi i surowości sądu honorowego. Prawie zawsze bowiem, jeżeli przed takim sądem stanie nawet koniokrad, zdoła pozyskać sympatyę rewidentów swej uczciwości, którzy go uniewinnią albo dlatego, że nie „należy rozmazywać brudów,“ albo dlatego, że on „może jeszcze przynieść pożytek społeczeństwu.“ Ażeby trzech lub pięciu ludzi, składających sąd honorowy, miało tyle śmiałości i niemiłosierdzia, oświadczając wyraźnie, że koniokrad jest koniokradem—nie słyszeliśmy. Gdyby Lessepsów, Herzów, Reinachów, Baihautów sądził nasz komplecik honorowy, z pewnością wydałby im świadectwa „pożytecznej działalności.“ Dzięki temu tylu łotrów uwija się między nami bezkarnie. Jak rzekliśmy, nie wchodzimy w rozbiór winy naczelnika przystani Towarzystwa wioślarskiego, ale chociażby on był nawet najniesłuszniej potępiony, instytucya, która nie okazuje pobłażliwości dla swych członków, przekonywa, że chce żyć i żyje w moralnem zdrowiu. Jest to lepsza i rozumniejsza hygiena, niż zakrywanie brudów i wypuszczanie winowajców tylnemi drzwiczkami na pociechę „społeczeństwa.“ *W.*

Muzeum rzmieślnicze.

Opiekunowie i zarządcy Muzeum rzemieślniczego, pod które, jak wiadomo, położył kamień węgielny p. H. Wawelberg ofiarą 25,000 rs., zebrali się przed kilku dniami dla zdania sobie sprawy z tego, co dotychczas zrobiono. Do powyższego funduszu ze składek publicznych przybyło 37,869 rs., a nadto pokaźna ilość przedmiotów, bądź darowanych, bądź wypożyczonych. Zajęły one kilka sal, gdzie codziennie garstka osób korzysta z wystawionych wzorów, zdejmując kopie. Są tu modele i wyroby architektoniczne, metalowe, porcelanowe, mularskie, ciesielskie itd. Obrady komitetu nie tyle może dotyczyły skreślenia rozwoju zbyt młodej jeszcze instytucyi, ile pobudzenia społeczeństwa do dalszych dla niej ofiar. Pobudzenie to od czasu do czasu jest koniecznem, gdyż najpożyteczniejsze przedsięwzięcia oddalają się w naszej pamięci jak sny, które tylko chwilowo zajmują uwagę. Obawiamy się nawet, że Muzeum rzemieślnicze, jeżeli nie otrzyma hojnych zapisów i darów, może pozostać w stanie zalążkowym, co naturalnie nie pozwoliłoby mu spełnić swego zadania. Tego rodzaju instytucya musi być bogatą w zbiorach, inaczej nie wywrze pożądanego wpływu na rozwój rzemiosł. *M.*

Przy końcu.

Coraz dalej do końca zbliża się sprawa zwiniętej kasy emerytalnej urzędników kolei Terespolskiej. Jak donosiliśmy niedawno, akcyonaryusze zaproponowali, ażeby jej całkowity fundusz rozdzielony został między emerytów, z części zaś kapitału spornego (eksploatacyjnego) wypłacono urzędnikom dotąd służącym lub spadłym z etatu wniesione składki wraz z procentami. Urzeczywistnienie tego projektu zależy już tylko od przyjęcia go przez Radę państwa i Najwyższej sankcyi. Czyli innemi słowy: jeżeli sprawa ta będzie wniesiona na kwietniową sesyę Rady państwa, może być rozstrzygnięta ostatecznie za parę miesięcy, jeżeli zaś nie — dopiero wejdzie na sesyę jesienną. Według dokonanych obliczeń, każdy emeryt otrzyma w zamian za swe prawa sumę przyznaną mu przy opuszczeniu służby, pomnożoną przez 7 z ułamkiem (około $^{7}/_{8}$). Chwili tej niecierpliwie wyglądają zwłaszcza biedniejsi uczestnicy kasy, pobierający dziś emeryturę zredukowaną do trzeciej części.

Tablica dla Chałubińskiego.

Zmarły niedawno A. Wrześniowski, otrzymawszy pozwolenie władzy, zbierał składki na wmurowanie tablicy na cześć Chałubińskiego w kościele Wizytek. Jakkolwiek datki płynęły bardzo skąpo, gdyż poczciwi ludziska łatwo wymazują sobie z pamięci tych, którym wiele zawdzięczają i jakkolwiek nawet koledzy nieodżałowanego nieboszczyka, którzy siebie, swoje żony, dzieci, matki, babki, ciotki, stryjów, wujów itd. w najmniejszych chorobach powierzali jego bezinteresownej i chętnej pieczy, niezbyt hojnie spłacili mu ten drobny dług, wiemy jednak, że ukwestowano około 2,000 rs. Obecnie pisma donoszą, że staraniem „kolegów i przyjaciół“ ma być wmurowana tablica w kościele na Koszykach, nie objaśniając, czy to będzie ta sama, przez Wrześniowskiego pomyślana, czy też inna. Bądź co bądź, czas już, wielki czas uczcić bodaj w ten sposób genialnego lekarza i przezacnego człowieka, który długo świecić będzie następcom swoim rozumem i charakterem, który bodajby nam się w nich odrodził jaknajliczniej.

P. Kuszel i Towarzystwo kred. ziems.

Mniej zainteresowani tego rodzaju sprawami czytelnicy nasi prawdopodobnie zapomnieli o drobnej notatce w przedmiocie zatargu między p. Kuszlem a Towarzystwem kred. ziems. Zatarg ten wynikł ze sprzedaży przymusowej za niezapłacone raty majątku Nowosiołki w pow. hrubieszowskim. P. Kuszel, uważając postępowanie delegowanego radcy, G. Wiercińskiego, oraz wyznaczonej przez niego administracyi za nieprawne, złą wolą natchnione i ku jego szkodzie skierowane, zaskarżył naprzód akt sprzedaży do władz Towarzystwa, a nie otrzymawszy zadośćuczynienia — do sądu okręgowego, który jego żądanie oddalił na tej zasadzie, że ostateczną instancyą w przecinaniu sporów między dłużnikami a Towarzystwem jest Dyrekcya Główna. Ponieważ zaś p. Kuszel nie przestawał piętnować działań radcy W., został przez niego pociągnięty do odpowiedzialności i za obelgi ukarany. Wszystkie te jednak wyroki nie wyjaśniły i nie rozstrzygnęły właściwej sprawy, mianowicie: 1) czy administracya, wprowadzona w majątku Kuszlów (po śmierci ich ojca) nie była niczem usprawiedliwiona; 2) czy administrator Bogusławski był „ciągle pijany“ i szkodził interesom właścicieli; 3) czy gotowe zbiory przewyższały swą wartością ratę zaległą Towarzystwa, która nie została zapłacona tylko dzięki temu, że radca W. nie pozwolił ich sprzedać; 4) czy radca ten działał w porozumieniu z nowonabywcami na szkodę wydziedziczonych; 5) czy wogóle Kuszlowie przez nieprawną i wrogo przeciw nim uplanowaną subhastacyę zostali pokrzywdzeni? Takie twierdzenia ponawiają oni ciągle w swoich skargach, podaniach, artykułach, a obecnie w odezwach rozesłanych do redakcyj pism. O ile wnioskować można z jednostronnego przedstawienia sprawy, należałoby przyznać, że ich istotnie najniesłuszniej wydziedziczono z majątku i że Towarzystwo „dla honoru domu“ odmawia im satysfakcyi, do której jest moralnie zobowiązane. Nie podejmujemy wszakże roli sędziów w tym sporze, pozwolimy sobie tylko postawić dwa pytania:

1) Dlaczego radca Wierciński nie zgodził się na sąd obywatelski, którego rozpoznaniu Kuszel chciał oddać swą skargę oraz zarzuty — i gdyby im odmówiono zasadności — przeprosić go, a względem Towarzystwa zrzec się wszelkich pretensyj?

2) Dlaczego Towarzystwo nie chce zakończyć tego brzydkiego zatargu sądem polubownym, któremu Kuszel również gotów jest się poddać?

Poruszamy całą tę awanturę nietylko dlatego, że w niej tkwi może istotnie krzywda jednostki, ale również dlatego, że pragnęlibyśmy widzieć czystość moralną w instytucyi obdarzonej przywilejem samokontroli i samosądu nad swemi działaniami, wreszcie dlatego, że dalsze poszukiwanie sprawiedliwości przez pp. Kuszlów nie jest chyba dla Towarzystwa pożądane. *K.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZJAZD GÓRNICZY.

I.

Trzeci zjazd górniczy, który się odbył w Warszawie, roztrząsał kilka ważnych spraw, dotyczących produkcyi kopalnianej, transportu, tudzież zdobycia dostatecznej liczby sił roboczych i — zapewnienia bytu pracownikom drogą organizacyi kas odpowiednich. Wreszcie specyalna szkoła miejscowa miała również ważne znaczenie w rozprawach, jako jedno ze źródeł zwiększenia produkcyi za pomocą dostatecznie wykwalifikowanych fachowców. Streścimy przedewszystkiem program zjazdów przedstawicieli przemysłu górniczego w Królestwie Polskiem. Na mocy upoważnienia ministra dóbr państwa, odbywają się one co trzy lata w celach następujących: 1) Opracowania danych statystycznych o rozmiarach oczekiwanej w każdem trzyleciu produkcyi kopalni i fabryk tudzież o przypuszczalnym wywozie produktów za pośrednictwem kolei żelaznych. 2) Rozstrzygania gospodarczych i administracyjnych spraw zjazdu, tudzież kwestyi dotyczących kasy emerytalnej ogólnej dla wszystkich kopalni i fabryk I i II okręgów górniczych Królestwa Polskiego. 3) Ustanowienie podatku dobrowolnego na wydatki zjazdu. 4) Opracowywania i zmiany taryf (w porozumieniu z przedstawicielami kolei żelaznych) dotyczących przewozu paliwa mineralnego, węgla drzewnego i wogóle produktów przemysłu górniczego. (Przedmiot zamknięty w tym punkcie podlega zatwierdzeniu ministeryum komunikacyi). Zjazdy mają prawo czynić starania wobec rządowych i społecznych instytucyi w sprawie poparcia przemysłu górniczego. Przewodniczący jest mianowany przez ministeryum dóbr państwa. Członkami rzeczywistymi mogą być wszyscy bez wyjątku właściciele kopalń, fabryk żelaza i wogóle zakładów górniczych. Prawo zaś głosu w obradach mają tylko przedstawiciele kolei, stowarzyszeń naukowych technicznych handlowych, wreszcie wogóle wszystkie osoby, interesujące się sprawami górnictwa. Dzierżawcy fabryki lub kopalni biorą także udział. Dla wykonania uchwał tudzież załatwiania spraw przed lub po terminie zjazdu powstają następujące organy: rada górnicza (z 5-ciu członków i 3-ch kandydatów), komisya rewizyjna (3 osoby) i — pełnomocnik, popierający w Petersburgu interesy tutejszego górnictwa. Zakres działalności rady: popieranie u rządu wszystkich potrzeb górnictwa krajowego; przedstawicielstwo przemysłu Królestwa Polskiego w ministeryum dóbr państwa i porozumiewanie się z władzami; sprawy taryfowe, statystyka przemysłu górniczego i ogłaszanie drukiem prac w tym zakresie, udział w komisyach rządowych, o ile one dotyczą przemysłu górniczego w królestwie Polskiem: zwoływanie zjazdów nadzwyczajnych itd. Jak widzimy, działalność ich nie jest okolicznościowa, mają one, przeciwnie — formę stałej instytucyi, popierającej interesy górnictwa. Przy radzie działa stałe biuro w Dąbrowie. Na utrzymanie biura rady, koszty urządzania zjazdów, podróże pełnomocnika, druki itd. określono dość znaczną sumę *maximum* 18,000 rs. rocznie. Suma ta obciąża wszystkich przemysłowców-członków w stosunku do rozmiarów produkcyi. Obradom obecnego zjazdu przewodniczył rz. r. st. inżenier Keppen, wytrawny znawca spraw górnictwa tutejszego.

Jeden z zasadniczych warunków rozwoju produkcyi — zdobycie dostatecznej liczby sił roboczych, był przedmiotem szczególnej uwagi przedstawicieli zjazdu. Uczestnicy przyszli do przekonania, że odłam przemysłu górniczego najbardziej cierpi z braku odpowiedniej ilości rąk, gdyż te nawet przy zastosowaniu wszelkich ulepszeń technicznych, pierwszorzędną rolę odgrywają w kopalniach. Zagłębia dąbrowskie leżą w miejscowości obfitującej w tak wielką liczbę fabryk, zakładów przemysłowych, kopalni różnorodnych produktów, że miejscowa ludność robotnicza wcale nie wystarcza dla tego wielkiego ogniska wytwórczości. Po za wielkim popytem, brak rąk roboczych wynika jeszcze z warunków geograficznych. Cała produkcya zogniskowana jest na kresach. Zakłady na przestrzeni 875 sążni od granicy austryackiej i niemieckiej, istniejące od r. 1833, na mocy postanowienia rządowego pozbawione są prawa wznoszenia wszelkich budowli i urządzeń przemysłowych. Chociaż dla przedsiębiorstw górniczych istnieje w tym względzie wyjątek (na mocy Najwyżej zatwierdzonego postanowienia komitetu ministrów z r. 1888), wszelako rozszerzanie i wznoszenie nowych zakładów zależy od każdorazowych starań i zgody ministeryów: dóbr państwa, wojny, spraw wewnętrznych, skarbu i — generał-gubernatora warszawskiego, wreszcie wogóle jest to połączone z wielu innemi trudnościami. Do liczby miejscowości przemysłowych, podlegających powyższym warunkom, należą: w obrębie dąbrowskim: Sosnowice, Niwka, w części Sielce, Modrzejów, Bobrek, Czeladź, Pogoń, Milowice. Wobec takiego stanu rzeczy, kopalnie i zakłady górnicze w powyższych miejscowościach, nie mogąc znaleźć na miejscu odpowiedniej liczby robotników tudzież chcąc uniknąć kosztów na budowę i utrzymanie mieszkań dla pracowników, starają się werbować tych ostatnich w miejscowościach odległych. O 15—18 wiorst od Sosnowic, Dąbrowy i Niwki są wsie, w których stosunkowo dość znaczna liczba ludzi nie ma zarobku na miejscu. Chętnie szukaliby oni pracy w miejscowościach fabrycznych gdyby nie to, że piesze wycieczki tam i z powrotem są niemożliwe. (Z miejscowości odległych o wiorst kilka od zakładów górniczych robotnicy chodzą codzień na robotę i codzień wracają do domów). Wprawdzie zakłady położone przy samej granicy „mogą się posługiwać“ (posługują się) siłą roboczą z Niemiec lub Austryi, niektórzy wszakże przedstawiciele zjazdu wyrazili życzenie (dyrektor Surzycki) udzielania pracy ludności miejscowej. Otóż mogą temu dopomódz koleje Wiedeńska i Dąbrowska, tj. uprzystępnić przewóz robotników klasą trzecią w wagonach osobowych lub odpowiednio przerobionych towarowych, za opłatą w stosunku $^3/_4$ kop. od osoby i wiorsty. Ulgi takie istnieją już na drogach żelaznych: Nadwiślańskiej, Południowo-Zachodnich, Mikołajowskiej, Moskiewsko-Brzeskiej, Władykaukazkiej, Kozłowsko-Woroneżkiej, Rostowskiej i innych. Przed paru laty zarząd kolei Dąbrowskiej ogłosił specyalną zniżoną taryfę na przejazd robotników partyami po 40 osób i więcej od Strzemieszyc do Sosnowic i z powrotem w stosunku 14 k. od osoby w obie strony za całą przestrzeń 13-wiorstową. Następnie sosnowickie Towarzystwo kopalni węgla zaproponowało kolei Dąbrowskiej odpowiednią zniżkę na przestrzeni od Sławkowa między Strzemieszycami a Olkuszem. Ludność w tych okolicach nieurodzajnych chętnie szukałaby zajęcia w kopalniach, tem bardziej, że jest z górnictwem obeznana (w dawniejszych kopalniach olkuskich). Kolej wszakże postawiła następujące warunki: Przewóz robotników między Sławkowem a Niwką może się odbywać tylko partyami złożonemi najmniej z 160 osób każda, za opłatą 37, 8 kop. od osoby w obie strony, tj. po 60 rs. 48 kop. dziennie za całą partyę. Naturalnie zakłady górnicze nie mogły przystać na te warunki. Wszystkie kopalnie na terytoryum dąbrowskiem płacą prostemu robotnikowi 70—80 kop. dziennie. Doliczywszy do tego 37,8 kop. za przejazd jednej osoby, otrzymamy płacę zwiększoną o 47—55%, co już właściciele przedsiębiorstw kopalnianych uważają za rzecz całkiem niemożliwą. Od Sławkowa do Strzemieszyc jest 9 wiorst, od Strzemieszyc zaś do Niwki 8,9, razem więc 17,9 wiorst. Przyjąwszy pod uwagę normę maksymalną, oznaczoną w ustawach kolejowych, tj. $1\,^1/_4$ k. od osoby i wiorsty za przejazd klasą III, otrzymamy za powyższą przestrzeń, zaokrągloną do 18 w., 23 kop. od osoby za przejazd w jedną stronę, czyli 46 kop. w obie. Tym sposobem proponowana przez kolej Dąbrowską zniżka wynosi zaledwie 8,2 kop. na osobie (46—37,8=8,2). Przy tem kolej przyjęła zupełnie niewłaściwą zasadę obliczania.

Za granicą udogodnienia w tym zakresie są dość szeroko stosowane z uwzględnieniem potrzeb zarówno zakładów przemysłowych, jak i robotników. W Belgii robotnicy mogą abonować bilety kolejowe tygodniowo. Koszt przejazdu na przestrzeni np. 20 kilometrów tam i z powrotem wynosi 1 fr. 20 cent. tygodniowo od jednej osoby.

Tak ważna sprawa, wymagająca szczegółowszego i szerszego traktowania, skłoniła przedstawicieli zjazdu do wybrania specyalnej komisyi, która przyszła do przekonania, iż jest rzeczą konieczną utworzenie na kolejach Wiedeńskiej i Dąbrowskiej specyalnych pociągów robotniczych ze znacznie zniżoną opłatą za przejazd. Chodzi tu nietylko o parę miejscowości, przylegających do obrębu kopalń i zakładów górniczych, lecz wogóle o ułatwienie dopływu mas robotniczych ze wszystkich stacyj, zaczynając od Częstochowy (kol. Wiedeńskiej) i Bzina (kol. Dąbrowskiej). W rezultacie przedstawiciele dróg żelaznych Wiedeńskiej i Dąbrowskiej uznali za rzecz możliwą utworzenie pociągów robotniczych z zastosowaniem zniżonej taryfy różniczkowej, ale nie w mniejszym stosunku, niż ½ kop. od wiorsty i osoby i z tym warunkiem, że robotnicy będą przewożeni w wagonach towarowych nieopalanych z takiem urządzeniem, jakie jest praktykowane przy transporcie wojska. Przytem na kolei Wiedeńskiej pociągi takie ze względów technicznych mogą chodzić raz tylko na tydzień tam i z powrotem (od ogniska przemysłu górniczego najdalej do Częstochowy). Kolej Dąbrowska może puścić w ruch takie pociągi z poblizkich punktów nawet codziennie, z dalszych zaś stacyj raz na tydzień w obie strony (najdalszą stacyą może być Bzin). Przedstawiciele dróg żelaznych podali jeszcze jeden pożądany dla nich warunek: ażeby zakłady górnicze i kopalnie zawiadamiały zawsze koleje, kiedy mianowicie jest potrzebny pociąg i na jaką liczbę robotników; ci zaś ostatni powinni mieć odpowiednie dowody. (Czy nie za wiele formalności?) *).

Dr.

*) Sprawę urządzenia pociągów robotniczych poruszył i w obszernym referacie rozwinął p. Surzycki, inżenier dyrektor Towarzystwa sosnowickiego.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Nowa spółka. Chętnie notujemy coraz częstsze w ostatnich czasach objawy ruchu przedsiębiorczego śród rolników. Tu i owdzie niezaradność zaczyna znikać, wiara w pojedyncze siły i pierwotne sposoby gospodarowania — upadać, a natomiast wzrasta liczba wyznawców wspólnego działania na polu ekonomicznem. Mamy fakt nowy. Dzięki staraniom p. Zdziarskiego z Cieśli, ziemianie płoccy postanowili utworzyć spółkę dla łatwiejszego zbytu ziemiopłodów. W tym celu odbyli narady dla porozumienia się w następujących sprawach: Zwrócić się do sfer właściwych z prośbą, aby władze wojskowe zechciały nabywać produkty rolne bezpośrednio od ziemian, jak to robią w innych guberniach państwa. Dalej położono nacisk na potrzebę nabycia fabryki narzędzi rolniczych po zmarłym Bornie lub założenie spółkowej i wreszcie założenie w Płocku fabryki udziałowej sztucznych nawozów. Pierwszą sprawę przyjęto jednogłośnie, gdyż najbardziej ona trafiła do przekonania interesowanych. Co do fabryki maszyn, uznano za wygodniejsze zbudować nową, opartą na udziałach od 25 do 100 rs. Zaraz na miejscu drogą zapisów zebrano około 4,000 rs. Nadto kupiec i obywatel miejski p. A. Brochocki, zobowiązał się wnieść rs. 5,000.

Zjazd zbożowy. W d. 2 b. m. na ostatniem posiedzeniu w Petersburgu zapadły ważne dla handlu zbożowego uchwały, które ze względu na ich znaczenie dla całego państwa podajemy w streszczeniu. Dozór nad handlem zbóż i nasion oleistych na rynkach wewnętrznych przyjąć muszą giełdy zbożowe, komitety i opieki tej dziedziny handlu, ziemstwa lub instytucye, które je zastępują. W miastach i wogóle w większych ogniskach handlowych należy utworzyć giełdy zbożowe na zasadach ogólnych. Tam, gdzie ich nie ma, powstaną komitety handlu zbożowego; na przedstawienie władzy miejscowej lub odpowiednich instytucyj społecznych. W skład komitetów z wyboru wejść mogą ci tylko kupcy, którzy opłacają gildyę i podatek rozkładowy najmniej dwa lata. W miastach niemających samorządu, członków komitetu wybiera miejscowe zgromadzenie kupieckie. W guberniach nieposiadających instytucyj ziemskich członkowie komitetów ze sfery rolniczej wybierani są przez zgromadzenie szlacheckie lub gdzie i tego nie ma, mianowani przez władzę. W punktach handlowych po za obrębem miast nadzór nad handlem zbożowym będzie powierzany „opiece“ utworzonej w tym celu, przyczem powinna być zachowana zasada równego liczebnie przedstawicielstwa rolników i kupców. Komitety i opieki zbożowe mogą utrzymywać osobnych meklerów i dozorców przysięgłych. Meklerom takim wolno robić tranzakcye nietylko na zboże, lecz i na inne produkty. Zakres działania tych dwu instytucyj jest następujący: 1) Opracowanie zasad wewnętrznego handlu zbożem w zastosowaniu do zwyczajów i przepisów miejscowych, wydawanych przez giełdę zbożową tego rynku, ku któremu dana miejscowość ciąży. Obowiązkiem komitetu jest szczególna dbałość o ochronę interesów włościan w zakresie kupna i sprzedaży. 2) Staranie o to, ażeby przepisy i prawa, dotyczące handlu wewnętrznego, były ściśle stosowane, a winni ich naruszenia — karani. 3) Wybór meklerów, dozorców przysięgłych i oficyalistów. 4) Ustanowienie instrukcyi dla komitetu i opieki tudzież dla organów wykonawczych, wreszcie nadzór nad spełnianiem tych instrukcyj. 5) Przestrzeganie, aby przy kupnie i sprzedaży pobierane były jedynie ustanowione opłaty. 6) Ustanowienie prawideł szacowania zboża według jakości i warunków miejsca, tudzież stopnia przyjętych ustępstw. 7) Roztrząsanie sporów między stronami. 8) Ocena potrzeb handlu i przedstawienie ich rządowi. 9) Utrzymywanie stosunku z intendenturą i giełdą zbożową względnie do kontroli wywozu oraz stosowania pewnych ulg. 10) Gdzie niema meklera — prowadzenie księgi, mającej znaczenie notowań urzędowych. 11) Coroczne kompletowanie prób i ich rozsyłanie. 12) Ustanowienie cenników zboża i ich wywieszanie w miejscach widocznych. (Wywieszać należy również telegramy o cenach na głównych rynkach). 13) Uważać, aby tranzakcye dokonywane były wyłącznie na wagę. 14) Kontrola miar i wag. 15) Zbieranie danych statystycznych o handlu zbożowym. 16) Określanie (na życzenie stron) normalnej wagi zboża i procentu domieszki. Koszty utrzymania komitetów zbożowych będą pokrywane z funduszów dostarczanych przez ziemstwa lub miasta, z opłat, pobieranych za dokonywane czynności i z kar, nakładanych za wykroczenia przeciw przepisom o handlu zbożowym. Tak więc, dzięki powyższej organizacyi, ogólna maszynerya handlu zbożowego pójdzie innym torem, pożądanym dla wytwórców i spożywców. Ucierpią na tem tylko spekulanci *).

Podatek od rubli. Tytułem próby ustanowiony będzie wkrótce. Od każdej setki rubli podatek wynosi 1 kop., pobierają go zaś komory celne lub instytucye pocztowe. Każdy podróżny, zaopatrzony w pasport zagraniczny, ma prawo przewieźć bez opłaty ?,000 rs. przewyżkę zaś powinien zadeklarować w setkach okrągłych. W razie zatajenia przewożonej lub przesyłanej sumy, winny podlega karze w stosunku 25% sumy ukrytej.

— Projekt kredytu melioracyjnego ostatecznie opracowano. Będzie on załatwiony jednocześnie z reformą Banku państwa.

— Ministeryum dóbr wniosło do rady państwa projekt urządzenia piwnic rządowych, gdzie handlarze mogliby przechowywać swoje wina w odpowiednich warunkach. Projekt ma na celu podniesienie wartości win ruskich.

— Na gruntach majątku Nieganowice w pow. będzińskim właściciel p. Juliusz Skiwski odkrył pokład węgla kamiennego dość znacznej grubości.

— Do 13 stycznia r. p. skład osobowy inspektorów podatkowych w całem państwie postanowiono doprowadzić do 851. Obecnie jest ich ogółem 500.

— Ministeryum dóbr państwa czyni starania o otwarcie 50 nowych stacyj meteorologicznych w różnych miejscowościach państwa dla celów rolniczych.

— Ogłoszono nową taryfę na przewóz wełny z Rostowa do główniejszych ognisk przemysłowych Królestwa Polskiego. Przewóz w ładunkach wagonowych, zawierających nie mniej niż 305 pudów, kosztować ma: z Rostowa: do Łodzi rs. 47 kop. 35, zamiast (jak dotychczas) rs. 57 kop. 91; do Warszawy rs. 46 k. 29 (zamiast 56 rs. 79 k.); do Sosnowic rs. 47 k. 79 (zam. rs. 58 k. 65); do Iwangrodu rs. 45 k. 52 (zam. rs. 56 k. 35). Zniżka ta prawdopodobnie ma na celu przerwanie wysyłania wełny z Rostowa do Królestwa przez Odesę, co w r. z. skutkiem zbyt wysokiej taryfy kolejowej szeroko się praktykowało ze szkodą kolei rządowych (Charkowsko-Mikołajewskiej i Poleskich).

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Wil. wiest.* donosi, iż ministeryum skarbu zwróciło się do księżnej Hohenlohe z zapytaniem, czy nie odprzedałaby reszty swych dóbr (około 300,000 dziesięcin) skarbowi i na jakich warunkach. Dla porozumienia się w tej sprawie wyjechał do Petersburga zarządzający majątkami księżnej, pan Knorre.

— Mają powstać w całem państwie kasy włościańskie na wzór gminnych istniejących w Królestwie Polskiem. (*Peterb. wied.*).

— Emigracya żydów z okolic Wilna na nowo się rozpoczęła. Przez miasto co tydzień przejeżdża około 200 wychodźców ku granicy pruskiej. Okręty odpływające z Hamburga i Bremy mają na swych pokładach po kilkaset izraelitów.

— Postanowiono powierzyć specyalnym inspektorom kontrolę nad prywatnymi przytułkami położniczymi.

— Z rozporządzenia rządu gubernialnego nie wolno w Warszawie wznosić nowych domów z suterenami i mansardami.

— Odczyty publiczne dla kobiet, urządzane staraniem zarządu wyższych kursów naukowych przy Muzeum im. Adryana Baranieckiego w Krakowie, odbywać się będą w każdą sobotę w sali posiedzeń rady miejskiej. Pierwszy odczyt wypowie Antoni Górski „O drożyznie.“

Szkoły. Zarząd kolei Wiedeńskiej na utrzymanie szkoły technicznej w r. b. wyznaczył 24,015 rs. Z tej sumy przypada: na pensye dla nauczycieli rs. 12,745, kierowników zakładu rs. 7,650, dla niższej służby rs. 1,870.

— Ministeryum oświaty postanowiło wprowadzić wykłady śpiewu w gimnazyach, jako przedmiot obowiązkowy. Według zapewnień *Nowosti*, projekt będzie urzeczywistniony z początkiem przyszłego roku szkolnego.

— Dn. 14 b. m. otwarto nowy zarząd szkół przemysłowych przy ministeryum oświaty. Pod tą władzą jest obecnie przeszło 100 zakładów, z tych 5 wyższych, 7 średnich, 30 z kursem szkół powiatowych i miejskich, 60 z kursem elementarnym.

— Program Instytutu inżenierów będzie podzielony na dwa fakultety: jeden dla przysposabiania inżenierów techników, drugi dla agentów handlowych w zakresie kolejowym.

Sprawy kolejowe. *Warsz. Dniew.* pisze: „Tutejsze gazety doniosły, że na kolejach Południowo-Zachodnich w przeciągu najbliższych trzech lat mają być usunięci wszyscy urzędnicy nieruskiego pochodzenia. Wiadomość ta jest mylna. Istotnie był poruszony, projekt uwolnienia ze służby na powyższych kolejach wszystkich urzędników pochodzenia polskiego i żydowskiego; w interesie jednak bezpieczeństwa komunikacyi ministeryum wystąpiło przeciwko zastosowaniu tego środka. Obecnie sprawa ta jest roztrząsana w komisyi pod przezydencyą general-lejtenanta Petrowa, towarzysza ministra komunikacyi.“

— Projektowaną odnogę kolejową od Płoskirowa do Kamieńca Podolskiego postanowiono powiększyć przez dodanie bocznicy do Husiatyna, dla połączenia z austryacką koleją Stanisławowską.

— Z Najwyższego rozkazu towarzystwa kolei: Rysko-Dynaburskiej i Dynabursko-Witebskiej nazwane zostały Ryzko Dwińską i Dwińsko-Witebską.

— Żądanie ministeryum komunikacyi, ażeby urzędnicy kolejowi i oficyaliści, mający styczność ze służbą ruchu, obowiązkowo umieli telegrafować, nie będzie stosowane do osób, które skończyły 40 lat wieku.

Opryszki. Prokurator izby sądowej warszawskiej, Turau, zawezwał do Skierniewic prokuratorów sądów warszawskiego, kaliskiego i piotrkowskiego, sędziów śledczych do spraw szczególnej wagi przy tych sądach, oraz sędziów śledczych okręgowych i organa straży ziemskiej, celem narady nad sposobami ukrócenia szeregu rozbojów i grabieży, szerzących się w guberniach warszawskiej, piotrkowskiej i kaliskiej (*Warsz. Dniew.*). Jednym z bohaterów ciemnej nocy i ostrego noża, jest niejaki Mielczarek, zbiegły z Syberyi. Według podejrzeń władzy, wszystkie grabieże w trzech wymienionych guberniach, spełnione zostały przez jego zorganizowaną bandę. Wszystkie sprawy o przestępstwa bandy postanowiono skupić w ręku sędziów śledczych do spraw szczególnej wagi, ażeby tym sposobem ujednostajnić działalność śledczą i wymiany wiadomości. Sprawa poszukiwań i badań oddaną będzie najbardziej doświadczonym organom straży ziemskiej. Dotychczas aresztowano 39 osób, przy czem ma się odbyć szereg nowych aresztowań wskutek zeznań oskarżonych, którzy przyznali się do winy. Do stłumienia więc grabieży wzięto się energicznie i zapewne niezadługo oczyszczone z nich będą zagrożone miejscowości. W wielu wypadkach rozboje spełniane były przy udziale czynnym służby, a w szczególności stróżów nocnych, otrzymujących od gospodarzy nader szczupłe wynagrodzenie i przyjmowanych bez ostrożności.

Wychodźctwo. Namiestnictwo Galicyi wezwało starostów, ażeby dla ostrzeżenia ludności, mającej chęć emigrowania do Brazylii, postarali się o najobszerniejsze ogłoszenia szczegółów zniechęcających, zebranych przez konsulat w Rio de Janeiro. W gminach, zagrożonych ruchem emigracyjnym, będą rozlepiane bijące w oczy plakaty i ustne pouczenia ludności wiejskiej.

— Liczba żydów, przybywających na osiedlenie do Anglii z Rosyi, Austryi i Niemiec, według oświadczenia Playfera imieniem rządu w izbie wyższej, wynosiła rocznie od lat kilku średnio 5,000 głów, w r. 1891-m wzmogła się do 10,000, w ubiegłym zaś spadła do 7000. Do Ameryki emigruje dziesięć razy tyle. Rząd angielski wysyła komisyę, dla zbadania skutków, jakie wywiera osiedlenie się ludności żydowskiej w Ameryce

*) O giełdach zbożowych pisaliśmy obszernie w nr. 5 *Prawdy* z r. z.

Zdrowie publiczne. Pozwolono przesyłać do badania bakteryologicznego wydzieliny cholerycznych (w ilości około 1 1/2 uncyi) do najbliższych klinik lub pracowni i gabinetów. Należy przy tem zachować następujące ostrożności: zawartość w większej ilości powinna być umieszczana w słoikach z grubego szkła, starannie zakorkowana, tudzież opakowana w naczyniu metalowem, hermetycznie zamkniętem i włożonem jeszcze w skrzynkę drewnianą.

Wystawy i Zjazdy. Ministeryum dóbr państwa zatwierdziło program zjazdu pszczelarzy, zapowiedzianego na październik r. b. w Petersburgu wraz z wystawą pszczelniczą. Członkami zjazdu mogą być osoby, zajmujące się pszczelnictwem po wniesieniu opłaty członkowskiej rs. 1. Referaty, przeznaczone do odczytania na zjeździe, powinny być złożone do 27 września r. b. Sprawami zjazdu zajmuje się petersburskie Towarzystwo pszczelnicze.

— Magistrat warszawski bierze udział w wystawie hygienicznej, zapowiedzianej na maj r. b. w Petersburgu. Dla urządzenia swego oddziału wysyła dwóch inżenierów, kilku mularzy i zapasy potrzebnych materyałów.

Odpowiedzi Redakcyi.

— *I. A.* Według nas najlepszą „metodą" jest naprzód poznanie zasadniczych prawideł gramatyki z krótkiego podręcznika, a potem czytanie autorów wzorowych ze słownikiem.

Mar. Eig. Jeżeli dziś przy rozwiniętej wiedzy trudno określić wiele stanów nerwowych, to cóż dopiero mówić o dyagnozie z odległości 1,300 lat, dokonywanej na podstawie podań? Wszystkie też takie, ze stanowczością wygłaszane twierdzenia stanowią osobny rodzaj blagi. Mahomet, jak wszyscy prorocy, miewał prawdopodobnie wizye, ażeby jednak był epileptykiem, tego nikt dowieść nie zdoła.

Bohdan Krauz, uczeń klasy ósmej gimnazyum radomskiego, po długich cierpieniach zmarł w ubiegłym tygodniu w Görbersdorf ua Szlązku, przeżywszy lat 18.
Kochał wiedzę, był zdolnym uczniem, dobrym synem, kolegą i bratem. Śmierć nie pozwoliła mu zostać dzielnym członkiem społeczeństwa.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Ценэурою, Варшава 12 Марта 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.